



KRZYSZTOF BONK

GRAGEZON

CYKL PENDORUM

Krzysztof Bonk

Gragezon

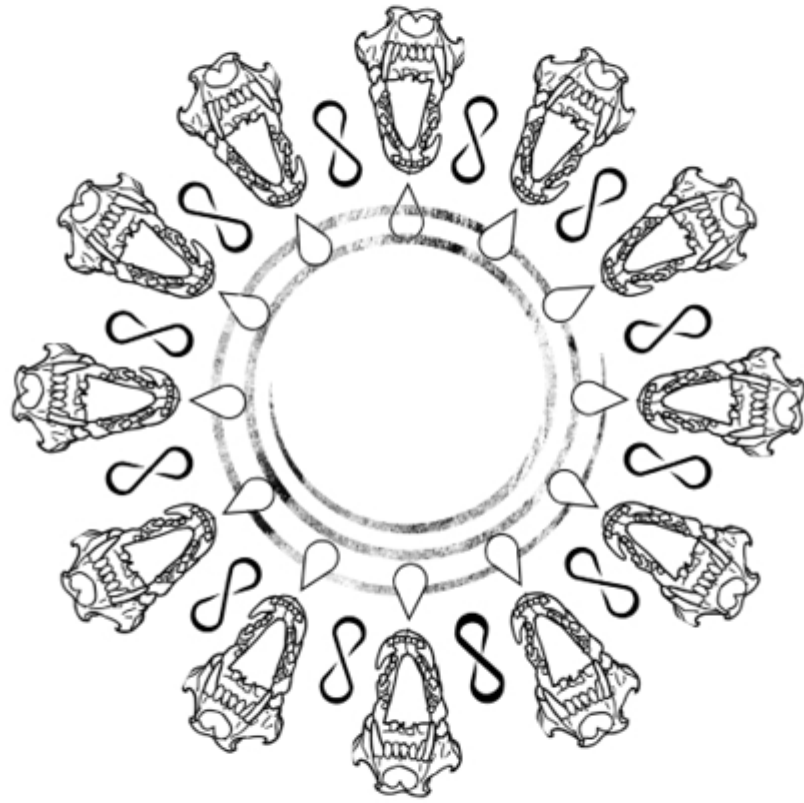
Cykl Pendorum VIII

© Copyright by Krzysztof Bonk
Projekt okładki: Krzysztof Bieniawski
ISBN wydania elektronicznego: 978-83-7859-977-7
Wydawnictwo: self-publishing
e-wydanie pierwsze 2018
Kontakt: bookbonk@gmail.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Konwersja do epub i mobi [A3M Agencja Internetowa](#)





I. RAZEM CZY OSOBNO

Roksin zostaje bezpowrotnie wygnana. Gdybym pragnął się temu przeciwstawić, zaryzykowałbym otwarty konflikt i przelew krwi pomiędzy dwoma allearskimi obozami; moim oraz Nail. Staje się bowiem to, czego w żaden sposób nie mogłem przewidzieć. Coś, o czym nie śniłem nawet w największych koszmarach. Oto bliska memu sercu osoba jest odtąd moim głównym rywalem do sprawowania władzy nad Allearami. I przeanalizowawszy sprawę, dochodzę to wniosku, iż zarówno ja, jak i Nail posiadamy dla Allearów atrybuty, które w pewien sposób się równoważą.

Ta ciemnoskóra kobieta zyskuje sobie szacunek i autorytet swą walecznością, zdecydowaniem oraz mądrością, co przyciąga do niej ludzi niczym do jakiejś świetlistej Bogini, którą przecież nie jest. W tym po jej stronie stają zakonnice srebrzystej łani, jaki i zakonnicy czerwonego lwa oraz niemal połowa allearskich wojowników.

Ja natomiast, choć z boską krwią w żyłach, mym głównym atutem, to daję się poznać jako kłamca i lawirant, a dodatkowo nieudolny przywódca, który prowadzi na śmierć wielkich mistrzów zakonnych. Lecz z powodu faktu, że jestem mężczyzną, mam po swej stronie tradycjonalistyczną starszyznę, która nie odda się pod całkowite władanie kobiety, a do tego obcego przybysza z zewnątrz. Taką postawę podzielają najwyraźniej liczni, allearscy wojownicy, bowiem nie wiem, co innego mogłoby ich skłonić, aby trzymali moją stronę. Niemniej jednak stają oni w dużej części właśnie za moimi plecami, czyniąc w allearskiej społeczności istotny podział. Ja zaś dochodzę do wniosku, że obecne zaistnienie dwóch niezależnych allearskich obozów to woda na młyn wrogom Pendorum. Dlatego też postanawiam temu niezwłocznie przeciwdziałać.

Pragnę schować w sobie powstałą urazę i gniew do Nail spowodowane trwałym okaleczeniem Roksin i jej wygnaniem. W to miejsce wspominam

fakt, że swoim śmiałym wymierzeniem kary ciemnoskóra kobieta prawdopodobnie ratuje życie matki mego dziecka i jego samego.

Summa summarum pełen dobrych chęci staję w progu namiotu Nail, aby jak równy z równym allearski wódz negocjować z nią trudny temat, mianowicie połączenie naszych sił. Jednakże wobec widoku, który zostaje mi ukazany, zastygam jak zamurowany.

Za połamami zielonego sukna w namiocie dostrzegam klęczącą Nail. Jest ona naga, ma uniesioną głowę i zamknięte oczy. Zaś swym również pozbawionym ubrania ciałem, niczym wąż oplata ją nieznanym mi mężczyzną, składający co raz pocałunki na kobiecym łonie, udach, to pośladkach.

Doprawdy nie wiem, czego tak naprawdę jestem świadkiem, ponieważ obserwowana przeze mnie scena przypomina raczej odprawianie jakiegoś rytuału, a nie cielesne zbliżenie. A zaraz czuję na ramieniu wątlą dłoń leciwej kobieciny ze starszyny i słyszę jej skrzypiący szept:

– Kobiecie trudno jest przewodzić Allearom... Jej pozycja jest stale zagrożona przez mężczyzn, allerskich wodzów poszczególnych klanów, których musi darzyć należytyimi względami i przyjmować ich zaloty. To właśnie obserwujesz. A kiedy któryś z nich wreszcie dopnie swego i stanie się jej mężem, ona utraci swoją pozycję. Choć teraz jest ona wyjątkowo silna, albowiem ciemnoskóra kobieta nie ma nad sobą zwierzchnictwa starszyny...

– Rozumiem... – odpowiadam ściszym głosem i jednocześnie obserwuję, jak mężczyzna w namiocie próbuje skraść Nail pocałunek w usta. Ta jednak nawet nie otwierając oczu, umiejętnie schodzi z linii obcych ust podobnie, jak niegdyś z moich. Następnie nie okazując emocji, lekko odpycha niedoszłego kochanka od siebie. Ten niebawem daje za wygraną. Ubiera się i odchodzi. Lecz w jego miejsce pojawia się innym. I chociaż na tego wodza Nail także nie spogląda, ciągle nie podnosząc powiek, to odnoszę wrażenie, że pozwala mu już na więcej. Nie zdejmuje cudzych rąk ze swego biustu i godzi się na intymne pieszczoty, mając ciągle zadartą wysoko głowę.

Niestety wynikiem obserwowanych, intymnych scen jest to, że szybko gaśnie we mnie uprzedni entuzjazm, aby w jakiś sposób połączyć swe siły z

Nail. Podziwianie tej bliskiej mi osoby w obcych, męskich ramionach wbija w me serce bolesne kolce zazdrości i skutecznie odwodzi tym samym od pierwotnego zamysłu, aby to ciemnoskórą kobietę uczynić na ten czas swoją małżonką.

Jednak właśnie dostrzegam jak wzgardza ona, choć w subtelny sposób, kolejnymi adoratorami. Czemu więc miałaby łaskawie przyjąć mnie, tego, który sam już nią wzgardził, wybierając Larien? Nie, dość upokorzeń i próżnych nadziei – myślę sobie, że moją skomplikowaną relację z Nail czas wreszcie definitywnie zakończyć. Zbyt wiele bowiem pojawiło się już na naszej wspólnej drodze przeszkód, aby można je było teraz z sukcesem pokonać.

Snując takie rozważania, oddalam się od namiotu i szukam sobie ustronnego miejsca. Pragnę w spokoju przemyśleć bieżącą sytuację i podjąć stosowne kroki odnośnie do najbliższej przyszłości.

Tak, Pendorum umiera, a ja nie mam zamiaru się temu biernie przyglądać czy walczyć o pełnię władzy w allearskiej puszczy. W końcu poniesione zostają już znaczące ofiary: Larien, Hamri, Agron. A co zostaje zyskane? Nic, zupełnie nic. Okrutni Bogowie opanowują kolejne krainy i nikt nie jest w stanie im się choć trochę skutecznie przeciwstawić. Zatem dość tego! Idę na wojnę, ale nie sam. Tym razem osobiście będę bezwzględnie zjednywał sobie sojuszników i nieważne przekupując kogo trzeba, grożąc mu, czy wyciągając pomocną dłoń. Najważniejsza jest przyszłość Pendorum, to z tą krainą nieodzownie wiąże swój los. Ja i Pendorum to teraz jedność. Zaś Nail może pozostać tutaj i bronić allearskich kniei, jeśli taka jej wola albo też odważnie podążyć moją drogą i stanąć u mego boku. Tę decyzję pozostawiam tej ciemnoskórej kobiecie, własną niniejszym już podejmuję.

W związku z tym jeszcze tego samego dnia ogłaszam, że wszyscy, którzy pozostają pod moją komendą, mają przygotować broń, rumaki oraz prowiant na drogę, bowiem skoro świt wyruszamy w kierunku konfederacji Favere. Tak oto w wiernej mi części allearskiego obozu ponad pięć setek podległych mi wojowników i wojowniczek szykuje się na wojenną wyprawę.

Lecz niespodziewanie wśród sprzyjających mi kobiet odnajduję zakonnice srebrzystej łani. A jest to ta sama osoba, z którą kocham się w noc święta Harremid nad brzegiem strumienia. Nie, bynajmniej nie obawiam się, iż w obliczu obecnych podziałów będzie ona szpiegiem w moim obozie nasłanym przez Nail. Jednak chcę się upewnić w moich domysłach, dlaczego opuszcza ona swe siostry zakonne i oddaje się pod moje władanie.

Gestem ręki przyzywam ją do siebie i wskazuję miejsce na pniakach drewna w cieniu liściastych drzew. Kierujemy się tam, a wtedy bez ogródek dumnie oświadczam:

– Wiem od świętej pamięci wielkiej mistrzyni Hamri, że nosisz imię Lisotia i jesteś ponoć osobą, na której jak najbardziej można polegać. Wiem także, że jesteś niemową. – Kobieta z długimi, jasnymi włosami związanymi w kitkę i o dość pospolitej urodzie czyni na potwierdzenie lekkie skiniecie głową. Ja zaś kontynuuję: – Skoro przechodzisz na moją stronę i zamierzasz wyruszyć ze mną na drugi kraniec Pendorum, niech tak będzie, ale z góry pragnę jasno nakreślić sytuację między nami.

– „Zatem”? – gestykuje łagodnie Lisotia.

– Otóż zgodnie ze swoim pragnieniem możesz zostać na pewien czas moją partnerką. Będziemy sypiać razem w jednym namiocie, ale to wszystko. Nie obiecuję ci miłości, małżeństwa ani tego, że będę ci wierny. Również nie wiem, ile potrwa nasz związek. Czy mój przekaz jest jasny? – zapytuję, a odpowiedź sprawia, że niemal zsuwam się z zajmowanego pniaka:

– „Przekaz jest jasny, lecz ty wydajesz się ciemny, a wręcz mroczny ze swymi insynuacjami”.

– Ale...? – Zbity z tropu wytrzeszczam oczy, a kobieta wyjaśnia:

– „Swego czasu uratowałeś mnie, więc odpłaciłam ci rozkoszą swego ciała. Ale już spłaciłam swój dług. Ty natomiast sam wcale mi się nie podobasz. Jesteś rudy i jakiś taki, jakby bez charakteru” – Krzywi się na twarzy kobieta. – „Ja z kolei jestem przede wszystkim zakonnice srebrzystej łani. Moją powinnością jest nieść wybawienie i ulgę potrzebującym, a nie szukać sobie partnera do uciech cielesnych” – kończy z pewnym wyrzutem.

– Więc... dlaczego dołączasz do mnie, a opuszczasz swe siostry zakonne...? – Głowię się nad tą niezrozumiałą dla mnie decyzją.

– „Dołączam nie tyle do ciebie, ile do planu, który ponoć zamierzasz realizować” – odpowiada Lisotia. – „Nasza wielka mistrzyni, jak wspominasz, nie żyje. Zaś pozostałe zakonnice srebrzystej łani przystępują do ciemnoskórej. Ale czego one tu będą chronić, lasów”? – Kobieta rozpościera szeroko ramiona i zdecydowanie gestykuje: – „Chcę walczyć i działać dla dobra Pendorum dzień w dzień. Zresztą pokonywać wrogów mogę także i nocą. To moja prawdziwa powinność, a nie iść ślepo jak owca za moim dotychczasowym stadem, szczególnie że nie posiada ono na ten czas przewodnika”.

– Zatem to głos serca tobą kieruje... – zauważam już trochę zorientowany w sprawie.

– „Serca i rozumu” – Lisotia uderza się zdecydowanie w klatkę piersiową, a potem czoło i czyni następne gesty, które tym razem wyjaśniają więcej, niż chciałbym wiedzieć: – „Kiedy gniłeś w niewoli w twierdzy Harensen z wielką mistrzynią, ja cały czas byłam tu. Siedziałam na miejscu z rozkazu Hamri i nie robiłam w tym czasie zupełnie nic, aby wspomóc ludzi z Pendorum. Ten rozkaz przełożonej był niczym niewolące mnie kajdany”. – Wyciąga przed siebie ręce. – „Jednak poza tym, że tkwiłam tu bezużytecznie, również nasłuchiwałam. Allearska starszyzna od dawna ma cię za nic, twierdzi, że jak na syna Anrei jesteś słaby. I ostatecznie to jest powodem, dla którego po okaleczeniu Roksin starszyzna staje za twymi plecami. Oni obawiają się Nail, która jest silna. Oni wolą, byś to ty był na czele, aby tobą manipulować. Inne zakonnice srebrzystej łani też widzą te zależności i z braku wielkiej mistrzyni oddają się pod komendę kogoś, kogo uważają za roztropniejszego. Ponadto honorowi zakonnicy czerwonego lwa odstępują od ciebie, bo pragną godnej śmierci, a raz im już tę możliwość odebrałeś. W ten sposób uratowałeś ich życie, ale straciłeś serca”.

Po tym wywodzie kobiety zamykam twarz w dłoniach i silnie pocieram ją, marszczą się paskudnie. Aż zmęczonym głosem zapytuję:

– Więc co ty jeszcze koło mnie robisz...? Odejdź, jak wszyscy, którzy przejrżeli na oczy...

– „Otóż jam teraz twą światłością na twej prawej drodze” – Lisotia nieoczekiwanie się uśmiecha i krzepiąco klepie mnie po plecach. – „Tak, twoją pochodnią w mroku, ale nie partnerką, rozumiesz”?

– Tak, chyba tak... – stwierdzam na dobre skołowany. A zaraz staje koło nas góra mięśni i kości w osobie wojownika Ambum i ten, spoglądając na Lisotę, bezczelnie wypala:

– Pindżałka!

– Nie... raczej nie... – odpowiadam bez przekonania i szybko się poprawiam: – To znaczy nie tylko pindżałka, Ambum, nie tylko... – Następnie kieruję spojrzenie na zakonnice. Kłaniam jej się lekko i mówię: – Dziękuję ci z całego serca za to, że mnie wspierasz i wiedz, że zrobię wszystko, aby cię nie zawieść. Teraz natomiast... – Wstaję ociężale i na pożegnanie grobowym tonem rzucam: – Idę rozmówić się ze... starszyzną, pozdrawiam...

Tak, jak zapowiadam, tak też czynię i już niebawem zjawiam się na niewielkim palcu z wydeptaną ziemią, gdzie w kręgu znajduje się znacząca ilość wysłużonych pniaków drewna. Jest to tradycyjne miejsce zbierania się allearskiej starszyzny. W jej skład od zawsze wchodzi kilkanaście do kilkudziesięciu osób, a są nimi postacie, które obowiązkowo znaczy już pełna siwizna włosów i niegdyś były one klanowymi wodzami bądź żonami wodzów.

W tej chwili, czyli w porze wczesnego popołudnia, na pniakach zasiada raptem pięciu leciwych mężczyzn i trzy stare kobiety. W liczniejszym zgromadzeniu starszyzna zbiera się jedynie w celu uradzenia donioślejszych spraw. Ja jednak nie potrzebuję szerokiego gremium, aby po prostu przekazać to, co zamierzam. Lecz moje słowa zostają uprzedzone przez pokurczoną staruszkę, która skrzypliwym tonem oznajmia:

– Doszły nas słuchy, że nasz wielki wódz, czyli ty sam, Avezanie... szykujesz armię do wymarszu, aby prowadzić wojny w odległych krainach...

– To bardzo nieroztropne, nieroztropne... – wtrąca łysawy starzec, którego wąskie płaty prostych włosów zwisają mu aż do pasa.

– Właśnie, wręcz nieodpowiedzialne... – podchwytuje trzecia osoba ze starszyzny, nieco otyła, u której ciężko rozeznąć płeć z powodu siwych

włosów częściowo zasłaniających twarz. Tymczasem głos powraca do pierwotnie wypowiadającej się staruszki:

– Wielki wybraniec Allearów musi przede wszystkim ugruntować swoją pozycję tu, na miejscu, w allearskim obozie. Zaś musi to uczynić, strącając z piedestału ciemnoskórą kobietę. To niedopuszczalne, by to ona współrzadziła, to zagraża naszej jedności...

– A może waszej pozycji i władzy? – Sam w końcu zabieram głos, czyniąc to dość ostrym tonem. Na co starcy patrzą na mnie z pewnym politowaniem i jeden przez drugiego się odzywają:

– W obliczu tego, kim naprawdę jesteś, pamiętaj, co nam obecnie zawdzięczasz...

– Słowem wszystko...

– Podporządkuj się, jak wypada na młodszego syna...

– Będziemy ci prawdziwymi ojcem i matką.

– Będziemy ci radą i przestrogą.

– Słuchaj nas.

– Złóż odpowiedzialność na tych, którzy na dobre poznali już świat...

– Zawsze przyjmę dobrą radę – odpowiadam, czym wzbudzam na bezzębnych twarzach adwersarzy lekkie uśmiechy. Lecz te raptem gasną, kiedy dodaję: – Jednakże zaznaczam, że w żaden sposób nie poczuwam się do posłuchu wobec przedstawianych mi sugestii. Zatem wiedzcie, że jutro, skoro świt, bezwzględnie wyruszam z całą podporządkowaną mi armią. Natomiast z wami nie przybyłem tego konsultować, a jedynie przekazać mą wolę. Wolę przywódcy Allearów i obecnego wybrańca, którego, czy wam się to podoba, czy nie, sami namaściliście na wodza. – Po tych nieco wyniosłych słowach odwracam się z zamiarem odejścia. Wtedy zza pleców słyszę, niczym krzyżujący się ze sobą oręż, zgrzytliwie wypowiedane słowa:

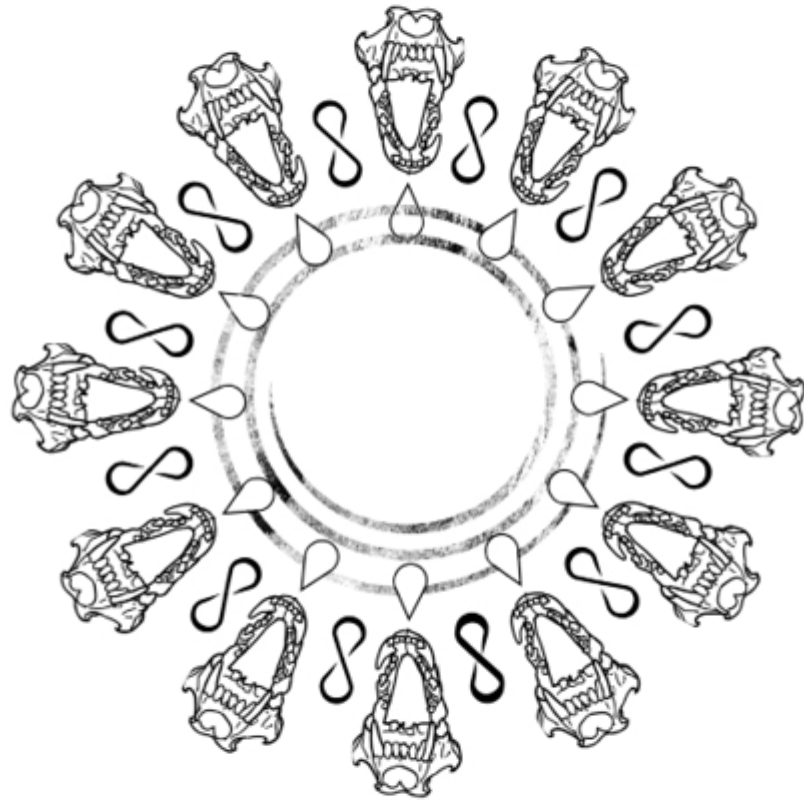
– Larien też sądziła, że sama może przewodzić...

– Tak i myślała, że jest taka sprytna...

– I tylko zobacz, co ją spotkało...

– Zobacz to, przejrzyj na oczy i zastanów się dobrze, czy będąc równie krnąbrnym, jak ona, szybko nie podzielisz jej losu, nasz wodzu...

Na te niecne sugestie gwałtownie spoglądam przez ramię. Wszyscy starcy raptem wbijają wzrok w ziemię, patrzą po sobie bądź na liściaste korony drzew. Z kolei do mnie jak grom z jasnego nieba dociera, czemu to właśnie Nail, jako zabójczynię Larien, wskazała Roksin. Zapewne ktoś z ręcznie jej ten zamysł podsunął. I już wiem kto. Niestety nie mam żadnych dowodów i zbyt mały autorytet, aby wymierzyć stosowną karę, którą niechybnie byłaby śmierć. A skoro tak, to odchodzę. Ale od te pory bacznie będę oglądał się za plecy i podczas snu wyznaczał stosowną straż przy moim namiocie. Jednocześnie dobrze zapamiętam kogo i dlaczego w przyszłości dosięgnie mój słuszny gniew.



II. PRZEZ SALADIOR

Moim celem jest położona daleko na zachodzie konfederacja Favfers. Jednak droga do jej lesistych ziem wiedzie przez centralne królestwo Saladior lub oddzielone od niego wewnętrznym morzem północne księstwo Razzinal. Oba władztwa w rękach okrutnych Bogów; Avenedora oraz Harremid. Zatem, tak czy inaczej nie zanosi się na łatwą przeprawę.

Ponadto nie zamierzam ryzykować prowadzenia przez wspomniane terytoria sporej armii, która mogłaby zostać z łatwością namierzona, a potem osaczona i rozbita. Zamiast tego wręczam podległym mi wodzom Allearów kopie map z zaznaczonym punktem docelowym wyprawy na ziemiach konfederatów. Tak oto wyrusza nas w sumie ponad pięć setek ludzi, lecz w kilkunastu oddziałach po kilkudziesięciu jeźdźców.

Osobiście pod swoją komendą mam czterdziestu wojowników z ich allearskim przywódcą klanowym na czele. Zaś towarzyszą mi jeszcze Ambum oraz zakonniczka Lisotia, którą z różnych względów pragnę mieć blisko siebie. Natomiast nasza grupa obiera kierunek przez samo centrum królestwa Saladior.

Wybór takiej drogi nie jest przypadkowy. Jest ona zdecydowanie najkrótsza, a zależy mi na tym, aby pojawić się u celu jako pierwszy. To element realizowanego przeze mnie planu wyrabiania sobie posłuchu u Allearów i zdobywania ich szacunku. Muszą zobaczyć, że jako dowódca jestem coś wart i sam daję z siebie, co mogę.

Początkowo los nam sprzyja. Poruszamy się bocznymi drogami lub zupełnymi bezdrożami, jadąc zwykle skrajami lasów. Drzewa z jednej strony dają nam pożądaną osłonę przed obcym zwiadem, a jednocześnie zapewniają doskonałe miejsce potencjalnej ucieczki.

Szybko się jednak orientujemy, że nie tylko my szukamy bezpiecznego schronienia w leśnych kniejach. Co raz napotykamy pomiędzy chaszczami

uciekinierów – głównie cywilną ludność z królestwa, chociaż zdarzają się także pomniejsze formacje wojskowe.

Ponadto, mimo że sami i tak nie bardzo mamy jak nieść pomoc prześladowanym mieszkańcom z Saladior, to osobiście wzbudzamy wśród nich spory popłoch, jako niesławni tu Allearzy. Albowiem to właśnie widok moich wojowników w biało-zielonych zbrojach sprawia, iż napotykanym ludzi ogarnia prawdziwa panika i notorycznie porywają się oni w głąb lasów.

Te, wraz z podążaniem w głąb królestwa, stają się niestety z czasem coraz mniej gęste i rzadziej napotymane. Aż w końcu docieramy w okolice, gdzie są one świadomie wypalane, zapewne przez obcych najeźdźców.

Od tej pory daję znak Allearom, że na odcinkach drogi pozbawionych osłon musimy znacząco przyspieszać. Czynimy to i kolejne połączenie otwartego terenu pokonujemy na pełnym galopie. Mamy przez to stale zmęczone rumaki, co ogranicza nam w konsekwencji pole manewru i niebawem ponosimy tego przykre skutki.

– Czy to dezercerzy z wojsk Saladior...? – Wstrzymuję nasz galopujący przez zieloną łąkę oddział i wskazuję na odległą linię lasu, gdzie kłębią się jacyś piechurzy.

– Nie. To brudni ludzie – odpowiada w swoim żargonie allearski dowódca. Młody, wysoki i szczupły mężczyzna w lekkiej, bogato zdobionej zbroi, którego charakterystyczną cechą jest brak uszu, pamiątka z wypadu do Otchłani. W to miejsce, mimo że nie jest głuchy, ma nad wyraz wysublimowany wzrok. Ja z kolei powtarzam zasłyszane dopiero co słowa, zastanawiając się, do kogo się właściwie odnoszą:

– Brudni ludzie... – I zaraz już chyba wiem, kiedy przesłaniam ręką czoło. Niemniej pragnę się upewnić. – Lisotia! – przyzywam do siebie zakonniczkę. – Czy to banda zbrojnych oprychów? – zapytuję, spoglądając na obce postacie. W odpowiedzi kobieta galopuje nieco w ich kierunku, aby im się przyjrzeć z bliższej odległości i powraca, by zdać mi relację:

– „Niezwykle liczna banda oprychów. Musimy skręcić” – gestykuje kobieta.

– Zawrócić, powiadasz... – Rozglądam się zrezygnowany po rozległej równinie, świadom, że mamy przed sobą jedyny skrawek zalesionego

terenu, ale niestety zajęty. I jeżeli nie będziemy obozować w nim na noc, to czeka nas ryzykowny sen w szczerym polu, bowiem na zmęczonych rumakach nie zdążymy odnaleźć innego schronienia.

Aż raptem czuję nagły podmuch powietrza tuż koło ucha. Zaskoczony przykładam dłoń do policzka. W tym czasie Lisotia pokazuje ręką za moje plecy. Spoglądam tam i widzę allearskiego wojownika z bełtem w klatce piersiowej. Z grymasem bólu na twarzy trzyma on drzewce i próbuje wyszarpnąć ze zbroi. Ale z każdym pociągnięciem ręką, można odnieść wrażenie, jakby sam wyciągał ze swego ciała pokąźną ilość sił, aż pozbawiony ich zsuwa się z wierzchowca na ziemię i nie daje znaku życia.

Z tą chwilą pozostali Allearzy spinają swe smukłe, rącznie konie i wszyscy, jak jeden mąż spoglądają na mnie. Z kolei we mnie wrze właśnie krew. Doskonale wiem, czego oczekują teraz moi ludzie i zaprawdę z największą przyjemnością dam im to.

Wyjmuję z pochwy krótki miecz i wyjeżdżam przed szereg Allearów. Następnie już mam unieść ostrze, aby wraz z jego gwałtownym opuszczeniem dać sygnał do szarży. Ale mój wzrok nadziewa się na szybkie gesty Lisoti:

– „Jeźdźcy Majanu” – Kobieta przekazuje mi wiadomość i kieruje uwagę na naszą lewą flankę, gdzie ławą rozciąga się kilkudziesięciu konnych wojowników. Patrzę na nich ze zgrozą i stwierdzam, że się zbliżają.

Gdy raptem mojego oddziału dosięga cała salwa bełtów ze skraju lasu. W efekcie ostrzału jeden z moich ludzi zostaje ranny w ramię. Pozostałe pociski nie trafiają celu albo ześlizgują się po allearskich zbrojach.

W tym momencie gorączkowo zastanawiam się, jak napuścić Jeźdźców Majanu na ostrzeliwującą nas bandę. Oczywiście jest bowiem, że to my, odsłonięci i na otwartym terenie, jesteśmy na gorszej pozycji, stanowiąc o wiele atrakcyjniejszy cel dla obu naszych wrogów.

Rozsądek podpowiada mi natychmiastową ucieczkę. Lecz jeżeli teraz wezmę nogi za pas, wiem, że w oczach Allearów stanę się nikim, a nie ich wodzem, który ma im przewodzić i prowadzić do chwały. Wobec tego duszę w sobie podszept okazania słabości oraz ucieczki i ulegam innemu, a mianowicie postanawiam się zdać na całkowitą brawurę. Jednakże w

niezbyt oczywisty sposób. Dlatego najpierw nawracam rumaka i daję wszystkim znak do odwrotu.

Lisotia oraz Ambum w mgnieniu oka są przy mnie, ale dumni Allearzy spoglądają pytająco na swego klanowego przywódcę bez uszu imieniem Allanir. Ten młody mężczyzna krzyżuje ze mną spojrzenie, zadziera głowę, a jego wzrok aż kipi dezaprobatą wobec widocznego zamiaru ucieczki z mej strony.

Chwila ta przeciąga się nieznośnie. Aż raptem młodzieniec nienaturalnie wybałusza oczy i spina się w sobie. Następnie obserwuję, jak pochyła się na rumaku, czyniąc jakby ku mnie głęboki ukłon i odsłania tym samym bełt w środku swego karku.

To skąd inąd tragiczne zdarzenie ma jednak dla mnie jedną korzyść. Nie tak to planowałem, ale obecnie wszyscy allearscy wojownicy natychmiast poddają się mej woli. Nie, bynajmniej nie czynią tego ze strachu, a z racji tego, że właśnie tracą swego przewodnika i potrzebują innego. A skoro tak, to korzystam z przewrotnego daru losu i wyrywam z kopyta byle dalej od zbliżających się Jeźdźców Majanu oraz ostrzeliwujących nas piechurów z leśnego zagajnika.

Gnam ile sił, aż w pewnym momencie spoglądam za plecy, aby upewnić się, że nikt nas nie ściga i pozostawiamy już wrogie oddziały daleko za sobą. Zaiste jest to faktem. Zatem gwałtownie wstrzymuję rumaka, a za mną czynią to moi podkomendni.

Z tą chwilą daję znak, by wszyscy byli cicho i wsłuchuję się uporczywie w przestrzeń, którą dopiero co pozostawiamy za sobą. Niebawem jestem już pewien, że dochodzą mnie stamtąd bojowe, męskie krzyki. Wobec tego formuję mój oddział w ławę jeźdźców i wskazuję, iż wracamy galopem na uprzednio opuszczone pozycje.

Czynimy to zgodnie i wkrótce ukazuje się nam bitwa na skraju lasu prowadzona pomiędzy Jeźdźcami Majanu, a oprychami. Wedy lekko zwalniam i rzucam przez ramię pewnym siebie, przywódczym głosem:

– Tutaj, w tym miejscu, musicie mi zawierzyć, pozostawiając wszelkie wątpliwości za sobą! Atakujemy pomyoty Otchłani, ale wspieramy ludzi lasu! Brudnych ludzi! Wykonać! – Po tej odezwie dobywam krótkie ostrze,

po czym bez opamiętania porywam się w sam środek walczących i wiem, że moi podkomendni podążą w ślad za mną, wszak muszą. I się nie myślę.

Zanim osiągnę wrogie szeregi, wyprzedza mnie salwa doskonałych, allearskich strzał, które kładą pokotem zarówno Jeźdźców Majanu, jak i ich rumaki. Następnie na pełnym galopie wpadam w kłębowisko walczących. Ustawiam ostrze pod odpowiednim kątem i ścinam głowę mężczyźnie na koniu. Przekładam miecz w drugą rękę i tnę po twarzy innego poplecznika Avenedora.

W tym momencie wytracam już impet natarcia i zatrzymuję się pomiędzy walczącymi. Dobywam drugie ostrze i z końskiego grzbietu tnę na lewo i prawo, celując przede wszystkim w twarze i dłonie wrogów. Ponieważ brązowe, śliskie faktury lekkich pancerzy Jeźdźców Majanu są zwykle odporne, o ile ciosy mieczem nie są idealnie mierzone.

Jednocześnie wokół mnie roi się już od także walczących Allearów, którzy zgodnie z moim wskazaniem nie atakują ludzi lasu. Ci ostatni na szczęście dość szybko orientują się w sytuacji i walczą jedynie z pomiotami Otchłani. Tym sposobem uzyskujemy szybko znaczącą przewagę w polu i bez litości wyzynamy wroga aż do jego ostatecznego unicestwienia, kiedy to ostatnia para pierzchających Jeźdźców Majanu stacza się z koni z bełtami w swych plecach.

Tak oto wspólne zwycięstwo jest nasze i teraz dzielimy się na pobojuwisku na dwie grupy; Allearów oraz ludzi lasu uzbrojonych głównie w halabardy i kusze.

Ja sam, jako przywódca wysuwam się konno w kierunku oprychów, a wtedy z ich szeregów wyłania się mężczyzna z niezwykle bujną, czarną brodą i uzbrojony w kuszę. Ociera on krew z twarzy i patrzy na mnie spode łba z jakby doklejonym do krzywych ust drwiącym uśmiechem, po czym szyderczo do mnie przemawia:

– Na wściekłego, boskiego niedźwiedzia, Gragezona! Doprawdy nie wiem, skąd się tu wzięli przekłęci Allearzy i nie muszę tego wiedzieć! Wszak wiadome mi jest, że ten, kto walczy u mego boku, ten mi bratem, ha!

Wobec tych słów podjeżdżam do wypowiadającego się mężczyzny i z najbliższej odległości cedzę przez zęby:

– Otóż dla mnie bratem nigdy nie będzie ten, kto podnosi zbrojną rękę na mego prawdziwego brata... Za Allanira! – krzyczę gniewnie, wspominając imię poległego dowódcy klanu i przejeżdżam czarnobrodemu mężczyźnie ostrzem po twarzy.

Ten wypuszcza kuszę z rąk i klęka, obejmując głowę rękoma, gdzie spomiędzy palców obficie płynie krew. Ja natomiast unoszę się w strzemionach i drę wniebogłosy:

– Za Allanira, do ataku! – I porywam się jak oszalały w sam środek szeregów nowego wroga, a niedawnych sprzymierzeńców, w ten sposób realizując swój pierwotny zamiar pokonania obu przeciwników.

Tratuję rumakiem kilku mężczyzn, a innych, uzbrojony w dwa miecze, siekam z góry w ramiona to głowy. Aż raptem mój wierzchowiec otrzymuje głęboką ranę halabardą w korpus, od której staje na tylnych nogach i rży przeraźliwie.

Zatem wysuwam nogi ze strzemion, puszczam ostrza i skaczę w tłum oprychów. Jednemu z nich spadam na plecy i obalam go na ziemię. Chwilę kotłuję się z nim, po czym skręcam mu kark. Potem dobywam zza pasa dwa noże i z pozycji na klęczkach szatkuję nimi nogi i brzuchy ludzi lasu, którzy wznoszą głowy i uzbrojone ramiona, walcząc z atakującymi ich konno Allearami. Gdy wtem słyszę gdzieś nad sobą gardłowy okrzyk „Ambum”.

Z tą chwilą moją twarz obryzguje krew zmieszana z mózgowiem i padają na mnie dwa bezgłowe trupy. Przygniatają mnie swoją masą, a ja, ocierając krwawą breję z mych policzków, rozpaczliwie próbuję się podźwignąć.

Lecz jednocześnie widzę, że z boku celuje we mnie kusznik. Niestety wszystko, co mogę przeciw niemu uczynić, do gniewnie obnażyć zęby, co niniejszym czynię, ponieważ nawet nie mam czasu, aby odczuć strachy, gdy raptem pada strzał.

Wystrzelony we mnie bełt odbija się od twardej powierzchni, jaką jest błyskawicznie ustawiona tarcza Lisoti. A zaraz wyrosła jak spod ziemi kobieta wyprowadza mordercze pchnięcie włócznią w tors kusznika i atakuje ona kolejnych oprychów.

Ja sam mam wreszcie chwilę, aby się ogarnąć i w końcu wygrzebać spod zwałów trupów. Staję za walczącą kobietą i nagle leci ona w moje objęcia niczym wystrzelona z katapulty. Chwytam ją i przytrzymuję, a kiedy stoi już pewnie na nogach, wyskakuję tuż przed nią.

W tym momencie dostrzegam szybujący z góry wprost na kobiecą głowę ciężki młot bojowy. Błyskawicznie chwytam drążek obuchowej broni i siłuję się z jej właścicielem, po czym wyprowadzam mu potężny kopniak w brzuch, po którym oprych zgina się wpół.

Zatem jego broń jest teraz moja i już zamierzam zrobić z niej odpowiedni użytek, ale uprzedza mnie Lisotia – zakonniczka umieszcza grot swej włóczni w torsie mężczyzny. Przez krótki czas spoglądamy po sobie wymownie i ruszamy wspólnie do ataku, co raz osłaniając siebie nawzajem.

Niebawem bitewny zgiełk zaczyna maleć, walczących ludzi lasu szybko ubywa, a wszędzie widać allearskie biało-zielone zbroje. Tym samym jasnym się staje, że zwycięstwo jest nasze!

Ponadto jest to wygrana, która niesie ze sobą rozliczne owoce. Oto pokonani są liczni wrogowie, a ja sam zyskuję w oczach Allearów i wreszcie widzą we mnie godnego siebie wodza. Do tego naszym udziałem stają się liczne łupy zarówno z zabitych Jeźdźców Majanu, jak i ludzi lasu. Zaś ci ostatni dodatkowo zgromadzili ze sobą okazały majątek z dotychczasowych rozbojów.

Mogę więc śmiało stwierdzić, że pomimo pewnych poniesionych ofiar, był to naprawdę dobry dzień, pełen sukcesów. Wszak ten dzień się na dobre jeszcze nie skończył.

Ratuję bowiem podczas bitwy życie Lisoti, chroniąc ją przed atakiem młotem bojowym. I teraz, zastanawiając się nad swoją nagrodą za ten czyn, już o zmroku, krocę do małego namiotu zakonniczki usytuowanego pod baldachimem liściastych drzew. Mijam spalony stos, gdzie spopieleny został allearski przywódca klanowy, Allanir, i tak docieram do pożądanego miejsca.

– Czy mogę wejść...? – zapytuję uprzejmie w progu. Na co ubrana jedynie w dwie białe przepaski kobieta, z rezerwą gestykuluje:

– „Właśnie szykuję się do snu. Ale zapraszam”.

Wobec zaprosin, mimo że chłodnych zasiadam ochoczo naprzeciw Lisoti i dość bezczelnie, niczym sroka w gnat, wpatruję się z łakomie w jej obfity biust.

– „Lubujesz się w kobiecych piersiach” – zauważa swobodnie zakonniczka.

– W tej chwili tylko w twoich... – Wyciągam rękę, aby odwiązać górną przepaskę z ciała Lisoti. Czynię to bez przeszkód i odkładam ją na bok. Ukazują mi się dwie okazałe piersi, które wyglądem przypominają trochę olbrzymie gruszki. I zaprawdę mam ochotę czym prędzej sięgnąć po te owoce rozkoszy, jak i inne przyjemności kobiecego ciała przede mną. Ale jego właścicielka mnie z lekka strofuje:

– „Nie zapominasz się przypadkiem”?

– Nie – odpowiadam z pewnością siebie. – Przecież uratowałem cię dzisiaj w bitwie, zatem...

– „Przybywasz po nagrodę”.

– Tak – potwierdzam i gładzę dłonią łono rozmówczyni. Ona odtrąca moją rękę i gestykułuje:

– „Ja uratowałam cię pierwsza”.

– To prawda – przyznaję, wspominając osłonę tarczą Lisoti mej osoby przed wymierzonym we mnie bełtem. – I co w związku z tym...? – Niewinnie się uśmiecham. Kobieta odwzajemnia lekki uśmiech i czyni gesty:

– „W księstwie Razzinal miałam kiedyś kochankę, siostrę zakonną, jak ja. Ona zginęła już na początku zawieruchy z gniewnymi Bogami. I... brakuje mi jej, przede wszystkim obecności, czułych słów, ale również... dotyku” – Kobieta odwiązuje sobie przepaskę biodrową, chwytając mnie za głowę i powoli kieruje ją między swoje rozchylone nogi. Zaraz rozpuszcza mi długie włosy i zagarnia je na moją twarz, wyjaśniając:

– „Lubię, kiedy włosy mnie łaskoczą, wiesz gdzie. A teraz ty zrewanżuj mi się za ocalenie życia”. – Kładzie się w wygodnej pozycji na plecach.

Ja natomiast bynajmniej nie wzbraniam się przed kobiecą zachętą. Co prawda odgrywanie roli kochanki to dla mnie coś zupełnie nowego. Ale stwierdzam, że to całkiem miłe dać kobiecie prawdziwą przyjemność

właśnie tak, jak tego pożąda, zanim sięgnie się po własną. Zaś miłe doznania odbierane przez Lisotę podczas mych pieszczot odczytuję, co raz spoglądając ukradkiem na szybciej unoszącą się jej pierś, kiedy raptowniej zasysa do płuc więcej powietrza. Także, kiedy rozchyła szerzej usta.

– „Wystarczy” – gestykuje w pewnym momencie zakonniczka. Zgodnie z sugestią przerywam pieszczoty. Sam rozbieram się do naga i szepczę kobiecie do ucha:

– Teraz kolej na mnie... i moją nagrodę...

– „Ale. Ja nie chcę” – oświadcza oziębłe Lisotia i odpycha się ode mnie, kładąc mi dłonie na klatce piersiowej. Lecz osobiście jestem już zbyt pobudzony, aby tak łatwo dać się zbyć, dlatego nalegam, mówiąc:

– Nie byłem z kobietą, odkąd kochaliśmy się razem nad brzegiem strumienia. To naprawdę długo i... nie każ mi czekać dłużej...

– „Nad strumieniem był mój pierwszy raz z mężczyzną” – gestykuje Lisotia. – „I nie podobało mi się”

Wobec tego wyznania ozdabiam swe czoło poziomymi zmarszczkami, marszcząc brwi.

– Zachowywałaś się wtedy całkiem namiętnie, jak na kogoś, komu się nie podobało... – zauważam posępnie.

– „Bo chciałam dać ci od siebie coś wyjątkowego, odwdzińczyć się. Sama zaś przyjąłam do ust allearski napar pobudzający żądzę i dający łatwiejszy dostęp do kobiecego, dziewiczego miejsca. Ale jeżeli chodzi o prawdziwą przyjemność”...

– To jej nie było... – stwierdzam zrezygnowany.

– „Wcale” – Kobieta rozkłada szeroko ramiona. Ja jednak bezczelnie korzystam z tego ruchu i mocno przylegam do jej ciała. Obejmuję ją mocno i namiętnie cedzę do ucha:

– Po dotarciu do konfederacji osobiście postaram się dla ciebie o napój Harremid. Jednakże zbyt rozbudziłaś już moje zmysły i nie jestem w stanie stąd odejść niezaspokojony. Dlatego Kochaj się ze mną, ulegnij i Kochaj... – kończę szept. Z rozpierającą mnie coraz silniej żądzą chwytam łąpczywie obfite piersi, to wpijam palce w masywne uda i inicjuję cielesne zbliżenie. Z powodu wcześniejszych pieszczot kobiety zostaje ono szybko

zapoczątkowane i równie szybko daje mi pełne spełnienie po tak długim okresie abstynencji.

Z kolei już zaspokojony, kiedy się ubieram, czuję lekkie wyrzuty sumienia. Szczególnie spoglądając na Lisotię, która pozostaje naga w pozycji na wznak z zamglonym wzrokiem utkwionym gdzieś u szczytu namiotu. I tak jak podczas cielesnej miłości, tak teraz jest ona w zupełnym bezruchu niczym martwa. Doprawdy nad wyraz kiepskie skojarzenie po dokonanej, fizycznej akcie, mającej nieść czystą rozkosz.

– Wszystko w porządku...? – zapytuję, pragnąc usłyszeć potwierdzenie. Lecz kobieta dłuższy czas nie czyni żadnych gestów. Aż siada i wzrusza obojętnie ramionami, po czym wykonuje spokojne ruchy dłońmi:

– „Świat jest pełen rozczarowań, mniejszych i większych. Otóż wcześniej nie dałeś mi takiej przyjemności, jak ma kochanka nawet w połowie, mimo iż wierzę, że się starałeś. Teraz natomiast czułam tylko dyskomfort i niewygodę. Wiedz zatem, że nie uczynisz ze mnie dla siebie namiętnej kochanki. Pewne rzeczy, czy osoby, po prostu do siebie nie pasują. Dlatego nie ma co na siłę ich łączyć, jak nas samych, nie uważasz?”

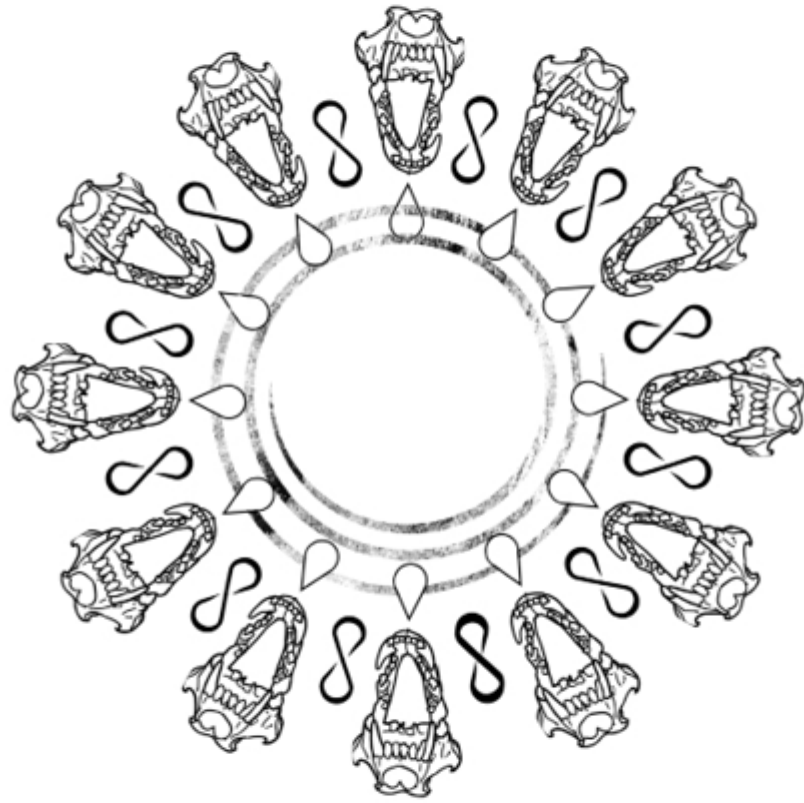
– Tak, to... chyba trafne i mądre słowa... – zauważam po chwili zastanowienia się nad zaprezentowaną mi treścią i pokornie dodaję: – Jesteś nietuzinkową kobietą i myślę, że mimo wszystko nie powinnaś być w zakonie. Widzę cię raczej jako matkę dzieci, które wychowywałabyś na równie roztropnych ludzi. Takich doprawdy niewielu chodzi po świecie.

– „Kobieta może rodzić nie tylko przez łono” – gestykułuje na to Lisotia. – „Pragnęłabym, aby moimi dziećmi, sprowadzanymi na świat, były dobrobyt i pokój. I jestem szczęśliwa, gdy się do tych wartości przyczyniam. Kiedy natomiast tego nie ma, wówczas czuję się jak bezpłodna, ponieważ nie wydaję niczego dobrego na świat”.

Na to wyznanie kiwam ze zrozumieniem głową i nic już więcej nie mówię, czując pewną przewagę umysłu tej kobiety nad moim własnym. Wychodząc, nad wyraz nisko i z szacunkiem się kłaniam zakonniczce, której ciało dopiero co skradłem niemal siłą.

Nie, nie żałuje tego, co zaszło. Nie widzę bowiem po Lisoti, abym ją skrzywdził. Ale też wiem, że nie jestem w stanie dać jej szczęścia poprzez fizyczne zbliżenie. Choć jak sama zwraca mi uwagę, mogę to uczynić w

inny sposób, mianowicie naprawiając świat. Jest to zatem kolejny argument za tym, aby walczyć o dobro Pendorum. Wyrwać tę krainę z rąk tyranów już nie tylko dla siebie i swej matki, ale dla wszystkich, którzy na to zasługują, którzy żyją tu i teraz, a także przyjdą po nich.



III. JARL ALBINA

Już nie musimy tęsknie wyglądać kolejnych lasów pośród rozległych pólnicznym marynarze wysp na bezkresnym oceanie. Docieramy bowiem szczęśliwie na terytorium konfederacji Favers. Z jednej więc strony nie powinniśmy się tutaj spodziewać wrogich patroli pomiotów Otchłani, a z drugiej gęste lasy towarzyszą nam obecnie niemal nieustannie. I to właśnie ich obrzeżami docieramy wkrótce do rozległej kotliny w sercu niezbyt wysokich wzgórz, gdzie usytuowana jest warowna wioska kobiecego jarla imieniem Albina.

Stajemy w liczbie niemal czterdziestu zbrojni pod drewnianą palisadą, która ciągnie się od wzniesienia do wzniesienia i oczekujemy przed bramą. Jako allearski oddział wzbudzamy tu żywe zainteresowanie, ale nie trwogę. Ponieważ Allearzy od niepamiętnych czasów nie zapuszczają się tak daleko od swych siedzib. A co za tym idzie, ludzie z konfederacji nie są do nich zbyt wrogo nastawieni. Choć podobnie jak ci z pozostałych czterech władztw kontynentu bynajmniej nie darzą rdzennego ludu Pendorum miłością.

Niemniej wkrótce bramy zostają z lekka uchylone i chociaż nie zostajemy wszyscy wpuszczeni do środka, ta ja sam, jako przywódca, już tak. Tego właśnie na początek oczekuję i na ten czas to mi zupełnie wystarcza.

Wjeżdżam zatem konno do warownej wioski, po czym zsiadam z rumaka i jestem bez słowa prowadzony do chaty jarla – największego domostwa spośród kilkudziesięciu znajdujących się tu w pełni drewnianych budynków.

Po drodze mijam zarówno posepnych, długowłosych i wąsatych wojowników, jak i pozbawione wąsów wojowniczeki. Przy czym wszyscy oni zgodnie wyposażeni są w tarcze i topory. Jednak nie brakuje tu także

zwykłych wieśniaków w tym baraszkujących dzieci, które bawiąc się, brykają pociesznie z małymi świniami w błocie.

Tymczasem przekraczam podwójne drzwi i wchodzę do sali jarla. Okazuje się, że udzielona mi audyencja nie odbędzie się w cztery oczy. Idąc do przodu, mijam zwarte szeregi ciekawskich tubylców, aż zatrzymuję się przed dwoma tronami, gdzie zasiada monstrualnych rozmiarów kobieta w ciemnych szatach z licznymi metalowymi ozdobami. Natomiast drugie zaszczytne miejsce zajmuje niepozorny, zwyczajnie ubrany, pryszczaty młodzieniec. Wobec tego koncentruję uwagę na kobiecie na tronie, którą musi być poszukiwana przeze mnie uzurpatorka, jarl Albina.

Poza tym, że wyróżnia się ona wybitnie ponad przeciętną tuszą, to ma dość pocziwy, budzący zaufanie wygląd. Rysy twarzy cechują ją delikatne niczym u dziecka, co zawdzięcza zapewne nalany policzkom, które przypominają nieco pośladki i w których tonie większa część elementów kobiecego lica. Włosy posiada krucze, gęste i kręcone, obecnie rozpuszczone na wzór zwierzęcej grzywy. Nie są one jednak całkiem eksponowane, ponieważ szczyt głowy kobiety wieńczy swoista korona, a mianowicie wykonana z czaszki niedźwiedzia. Ten ostatni atrybut ma zapewne budzić pożądany respekt. Lecz osobiście nie czuję się onieśmielony i jako pierwszy, lekko się kłaniając, swobodnie zabieram głos:

- Witaj, pani... i z góry wybac mi, ale przejdę od razu do rzeczy.
- Wybaczam – odzywa się tubalnym głosem kobieta i na zachętę czyni ku mnie zdecydowany ruch ręką. Ja zaś nie daję się prosić, tylko uprzejmie kontynuuję:
 - Otóż... doszły mnie swego czasu słuchy, że jesteś, pani, w konflikcie z jarlem Płaskonosym, synem zmarłej cesarzowej Tiry.
 - Jestem.
 - Doskonale... To znaczy wiedz, że osobiście mam swe powody, aby wesprzeć twój sprzeciw wobec wspomnianego jarla. A nawet wspomóc cię zbrojnie, jeżeli znajdę tu przychylność z twojej strony.
 - Przychylność.

– Nie inaczej... Ponieważ niewątpliwie wiesz, jak wielka groźba zawisła nad całym Pendorum z powodu najazdów na serce krainy gniewnych Bogów. I aby przeciwstawić się tym ostatnim, ja, allearski wybraniec...

– Wybraniec.

– W rzeczy samej... Otóż osobiście bardzo sceptycznie jestem nastawiony do współpracy z pozostającymi przy życiu i władzy synami Tiry. Pomyślałem więc, że moglibyśmy połączyć nasze siły. Słowem ja pomogę tobie, pani, zostać przewodnim jarlem w całej konfederacji Favere dokładnie tak, jak do tego aspirujesz. Ty natomiast wesprzesz mnie w słusznej sprawie walki o całe Pendorum.

– Pedndorum.

– Zaiste... – potwierdzam, ponownie kłaniając się lekko na znak, że właśnie skończyłem swoją wypowiedź. Na co piskliwym głosem odzywa się pryszczaty młodzieniec z drugiego tronu:

– Matka może wystawić nawet dwa tysiące wojowników. Dwa tysiące! – podkreśla, uderzając wąż piąstką w swoje drewniane siedlisko. – Ty z kolei, przybłodo... – Chłopak silnie akcentuje ostatnie słowo. – Podobno nie masz pod swoimi rozkazami nawet pięciu dziesiątek ludzi, ha! Doprawdy, cóż to za siła?! – Pryszczaty młodzian okazuje się miły niczym wrzód na tyłku i zastyga z szerokim uśmiechem na ustach obrazującym głębokie samozadowolenie. Lecz nie mija chwila, a podchodzi do niego ktoś z tłumu i szepcze mu coś do ucha. Wtedy chłopięce usta zawężają się w poziomą kreskę: – Przybyło już stu...? – mówi ścisłym głosem do swego rozmówcy. A zaraz kolejny osobnik syczy do niego jakieś ciche słowa i pryszczaty młodzieniec, przełykając ślinę, kompletnie już spuszcza z tonu, piskliwie oznajmiając: – Na horyzoncie dostrzeżono już ponad trzystu Allearów... To... bardzo ciekawe... – Spogląda wymownie na kobietę na tronie, a potem gdzieś na sufi, aby tylko nie skrzyżować ze mną wzroku. Ja zaś spokojnie podsumowuję:

– Ogłaszam wszem i wobec, że spodziewam się pod waszą warowną bramą, oddanych mi, blisko pięciu setek najdoskonalszych, allearskich wojowników. A jak wszystkim wiadomo, każdy z nich wart jest co najmniej dziesięciu żołnierzy. Jest to więc znacząca siła, której mogę użyć do wsparcia waszej sprawy, albo też... jeżeli nie znajdę tu uznania, to nie będę

prosił, nie będę groził... Po prostu wyruszę dalej, komu innemu oferując moje usługi... – przedstawiam całkiem taktowne w moim mniemaniu ultimatum. Wobec niego kobieta na tronie, pięścią tak masywną niczym bochen chleba, podpira swój potrójny podbródek i rzuca w powietrze:

– Jak ciebie zwa?

– Jestem Avezan z wyspy bez nazwy. Być może niewiele wam to mówi, ale wiedzcie... że nie stoi tu przed wami zwykły śmiertelnik.

– A jaki? – pyta z niezmienną powagą kobieta jarl. Na co rozglądając się po zebranych, z pewną dumą się obszernie przedstawiam:

– Jestem tym, który przebył Światowy Ocean i zwycięsko walczył na arenach Terraticos, jako gladiator. Przebyłem też niemal w pojedynkę całą Otchłań wzdłuż aż do Srebrzystych Gór. Następnie w obronie serca Pendorum walczyłem z samą Harremid, jak i potykałem się z zastępami Jeźdźców Majanu, stając się przy okazji allearskim wybrańcem. A stałem się nim również dlatego, ponieważ oto macie przed sobą najmłodszego, boskiego syna samej mitycznej Anrei z jej ostatniego żywota! – kończę gromko, dla lepszego efektu unosząc w górę zaciśniętą pięść.

Ostatnim wyznaniem, zapewne bardziej niż moją postawą, budzę wśród audytorium przeciągły szum, z którego z dumą wyławiam zaskoczenie oraz podziw. Jednocześnie obserwuję dłoń przyszczatego młodzieńca lądującą z płaskiem na jego własnej twarzy i zasłaniającą czerwone krosty na policzkach. Następnie szpetny młodzian szepcze coś do pulchnej kobiety na tronie. Ta kiwa mu z lekka głową, a wtedy chłopak, patrząc gdzieś ponad moją osobą, jękliwie przemawia:

– To, zaiste, wielki honor i tak dalej... Niniejszym wspaniałomyślnie przyjmujemy twoją ofertę zbrojnego wsparcia. Ażeby przypieczętować nasz sojusz, pójdź, proszę... z mą matką do jej pokoju. – Wskazuje na kobietę na tronie. – Zgodnie z tradycją spędzicie tam razem noc, aby poprzedzić wspólne przelanie krwi wrogów, przelaniem męskiego nasienia między wami... – Czyni niedbały ruch ręką i wywraca oczy do góry. Ja z kolei wybałuszam własne gałki oczne wprost na potężną kobietę, która raptem ozdabia swą pulchną twarz niewinnym, wręcz dziewczęcym uśmiechem i szybko trzepocząc rzęsami, puszcza mi słodkiego całusa. Spoglądam na nią nagle osowiały, a w tle ciągle słyszę słowa jej

pryszczatego syna: – Twoich allearskich wojowników należycie ugościmy i nakarmimy, przybyszu. Wierzmy, że nie sprawią kłopotu... Jednocześnie ślemy już wici do zaprzyjaźnionych jarłów, by z następną kwadrą księżyca wyruszyć wspólnie po to, co należne mej matce, a siostrze z mordowanego podstępnie jarla Bezrękiego. Słowem władza w konfederacji Favere będzie należała do naszego rodu!

Tym wyznaniem syn mojej przyszłej, siłą przydzielonej mi kochanki, wzbudza w sali wielki aplauz. Ja zaś, pośród wiwatów, jestem niczym skazaniec prowadzony przez parę młodych kobiet na zaplecze tej sali. A oglądając się, dostrzegam, że ociężałe kroczy w ślad za mną mój kat, to jest jarl Albina. I skłamałbym, mówiąc, że nagle nie rodzi się we mnie szczere pragnienie ucieczki, niczym bezbronnej owcy przed morderczym xeratoksem.

Doprawdy zwyczaje niektórych nacji są dość niezwykle i dla osób z zewnątrz bywają nieco krępujące. Jednak zawiązanie sojuszu za pomocą cielesnej miłości nie wydaje się mimo wszystko najgorsze, co najwyżej niezręczne. Dlatego, gdy niebawem nastaje noc i zostaję sam na sam z moją ponad naturalnych rozmiarów kochanką, to staram się sam siebie przekonać, iż czynię coś jak najbardziej naturalnego. Ot dwoje ludzi, mężczyzna oraz kobieta zbliżą się do siebie. Zatem bez większych oporów się rozbieram.

Zanim spocznę na wielkim łożu, jedynym tutejszym meblu pokrytym górą futer i skór, raczę się jeszcze łykiem dość mocnego wina z dzikich jagód. Nad wyraz dużym łykiem wina z dzikich jagód. I tak pokrzepiony spoglądam z ukosa na rozbierającą się właśnie jarl Albinę. Lecz w efekcie, zamiast popatrzeć na nią łaskawszym okiem, to serwowany widok, jakby sam raczył mnie dolewką trunku i kolejną, aż w chwilę opróżniam całą butelkę.

W tym czasie podziwiam kobiece łydki grubości moich ud, a zwałiste uda kobiety przywodzą mi na myśl konary najgrubszych, tysiącletnich drzew z allearskiej puszczy. Pośladki są tak obszerne, że trudno stwierdzić, gdzie mają swój początek, a gdzie koniec, bowiem zalewają kilkoma fałdami zarówno nogi, jak i u góry zacierają linię pleców. Z kolei samych pleców nie dane jest mi dobrze obejrzeć, bo ukazane mi są przede wszystkim liczne zwały tłuszczu na wydętym brzuchu. I jeszcze te piersi...

Każda z nich zwisa niemal do wysokości pępka kobiety i jest większa od mej głowy, przez co ich rozmiary doprawdy przyprawiają mnie o jej zawrót. Dlatego też po konsumpcji trunku nieśmiało zwracam się do jarl Albiny:

– Masz, pani, niezwykle ponętne... – Słowa więzną mi w gardle w związku z czym zamiast zamysłu pierwotnego komplementu i wychwalania ciała kochanki, mówię: – Łoże... masz, pani, ponętne łoże, które chętnie będę z tobą współdzielił, zaznając przy tobie kojącego... snu... Wszak jestem tak zmęczony po podróży, wręcz wyczerpany, że najchętniej udałbym się już na stosowny spoczynek. I nic więcej nie musimy robić, a pozostanie to między nami, obiecuję... Czy zgadzasz się, o pani...?

– Kładź się, ja na tobie – pada wręcz rozkaz. W odpowiedzi z nadzieją rozglądam się za jeszcze jedną butelką trunku. Zaś nie namierzywszy takowej wzrokiem, pokornie oznajmiam:

– Jeżeli tradycji musi się stać zadość, zatem niech i tak będzie... Ale... proponowałbym jakąś dogodniejszą pozycję...

– Kładź się, ja na tobie. – Dominująca kobieta ani myśli mi ustępować.

– Ale czemu...? – pytam jękliwie.

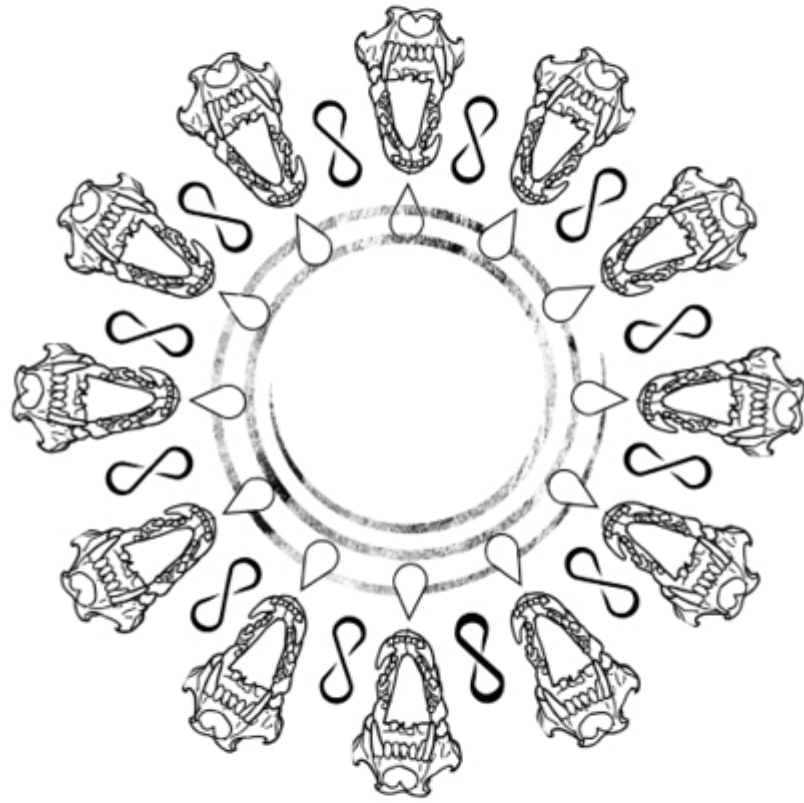
– Bo to ty mi podlegasz i przychodzisz po prośbie.

W związku z takim podsumowaniem czuję się znokautowany, bowiem doprawdy nie wiem, jak wywinąć się z obecnej sytuacji. Więc, zamiast dalej się droczyć oraz zgrywać takiego trudnego, kładę się na wznak na łóżku i niewinnie zamykam oczy.

Moje myśli są raptem przy Rokisn, a potem Lisoti, kobietach, które miałem bez oglądania się na ich ochotę. A skoro tak, to rozumiem, że sprawiedliwy los chce wyrównać pewne rachunki i dla dobra Pendorum wypada przetrzymać to i owo. Choć może wbrew moim pierwotnym obawom, nadchodzące zbliżenie okaże się całkiem przyjemnie?

Zaraz jednak się okazuje to nie takie oczywiste, aby w komforcie oraz zdrowiu przetrwać tę miłość, kiedy jarl Albina przygniata mnie swym monstrualnym ciałem. Nagle czuję się niczym w morderczym uścisku niezwykłego niedźwiedzia. Braknie mi tchu i zupełnie nie mogę oddychać, nie mówiąc już o rozbudzeniu u w sobie koniecznego pożądania.

Wtem otrzymuję dodatkowo silne uderzenia otwartą dłońią w twarz, które mają mnie najwyraźniej pobudzić. Z kolei, gdy w końcu jakimś cudem inicjujemy zbliżenie, moja kochanka za nic nie daje mi się spod siebie wydostać. Więc, zamiast czerpać przyjemność z miłosnego aktu, staram się go po prostu przeżyć w jednym kawałku, czując się dosłownie jak kawałek ciasta rozprasowywanego na łożu przez potężny wałek.



IV. ŚWIĘTO SIŁY GRAGEZONA

Ostatnią noc niewątpliwie zapamiętam na długo, albowiem rano, wychodząc z sypialnej komnaty jarl Albiny, jestem zmordowany chyba jak jeszcze nigdy w życiu. Posiniaczony i obolały niczym po śmiertelnej batalii z wrogiem wlokę się do głównej sali, gdzie wszystko, czego obecnie pragnę to regenerującego me nadwątlone siły jadła. I na me szczęście rzeczywiście zaraz je otrzymuję.

Przy głównej ławie w chacie jarla raczony jestem kozim mlekiem i pitnym miodem. Do tego zagryzam świeży chleb, którego nie można uświadczyc u Allearów. Ponadto na blacie znajdują się leśne owoce i trochę warzyw jak gotowana rzepa czy duszone liście kapusty.

Tak więc objadam się tymi darami obfitości aż do przesyty, a wręcz na zapas. Równocześnie przysłuchuję się innym biesiadnikom, kobietom oraz mężczyznom, w tym przodującemu w dyspucie znanemu mi już przyszczatemu młodzieńcowi. Ten, spoglądając na mnie co raz z drwiącym uśmiechem, kontynuuje swój dłuższy wywód:

– Tak właśnie mówię, jarl Płaskonosy pokłócił się ze swym bratem z chanatu Precis. Zobaczymy, co z tego wyniknie, choć stawiam, że dla nas samych raczej coś dobrego... Natomiast jednoznacznie obstawiam, że nikt z obcych przybyszy nie ma najmniejszych szans w turnieju siły podczas święta sławetnego Gragezona. Na początek sądziłem, że obcych nawet nie powinniśmy dopuścić do walk turniejowych, ale zmieniłem, tak zmieniłem zdanie... Otóż jeżeli się zbyt nie lękają, o co ich posądzam, to dajmy się im wykazać, to jest zebrać od nas bolesne baty, ha! – wypala piskliwie syn jarl Albiny, zupełnie jakby go ktoś dusił za szyję i wątłą piąstką uderza anemicznie w stół, po czym z dezaprobatą w głosie podsumowuje: – Zatem tak, jak już powiadam, dajmy im się wykazać, to jest ośmieszyć na całego... Tak rzadko odwiedzają nas tu wędrowni trubadurzy czy błażni, więc...? – zawiesza pytanie. Na co wokół ławy pojawiają się zgodne

pomruki aprobaty najwyraźniej nawykłej do potakiwania grupy biesiadników. Ja jednak zamierzam stanąć okoniem i z pewnym zaciekawieniem zapytuję:

– Jakich to zasad należy przestrzegać podczas turnieju, aby posłać tutejszych wojów ryjami między świnie prosto w błoto, gdzie ich miejsce? Nagle nastaje grobowa cisza. Ja zaś uświadamiam sobie, że z moim oratorstwem chyba trochę mnie ponosi. Ale ostatnia noc tak daje mi się we znaki, że nie do końca panuję nad sobą w tym też nad moim językiem. Z kolei po dłuższej ciszy zgrzytliwie przemawia nie kto inny jak pryszczaty młodzieniec:

– Zdaje się, że zasłyszałem gdzieś tu odgłos jakiegoś niewydarzonego drobiu. Kogoś, kto jeszcze przed paniem koguta sam piał z komnaty mej matki niczym obdzierany z pierza kurczak: błagam, już nie mogę, litości, pani, poddaję się, poddaję! – Na te słowa wokół ławy wzbudzone zostają liczne śmiechy, a miejscowi ludzie stukają się ochoczo kuflami z pitnym miodem. Osobiście, raptem upokorzony, zwieszam nisko głowę, nie śmiąc zaprzeczyć oczywistym faktom. Natomiast syn mej dominującej kochanki, niczym zwycięzca we właśnie odbytym pojedynku, z samozadowoleniem kontynuuje:

– Tak więc zasady turnieju... są poste! – popiskuje. – Dwóch wchodzi na bitewny plac, ale zwycięzca może być tylko jeden!

– Jeden! – grzmią wspólnie jak jeden mąż zgromadzeni ludzie. A syn jarl Albiny ciągnie dalej:

– I pojedynek wygrać można jedynie bez broni i za pomocą własnej siły.

– Siły! – wtórują biesiadnicy

– To prosta walka.

– Walka!

– Więc jeżeli naprawdę masz w sobie siłę, to walczysz i wygrywasz.

– Wygrywasz!

– Wygrywam... – powtarzam smętnie i sam do siebie w duchu dodaję: – Chcę wygrać, a w swoją siłę wierzę i to bardzo szczególnie popartą odpowiednią techniką walki za pomocą własnego ciała nauczaną mnie przez ojca. W związku z tym niebawem rozpowiadam wszem i wobec

wśród mych ludzi, jak się z nadchodzącym turniejem sprawy mają. W konsekwencji udaje mi się skusić wizją wielkiej chwały za zwycięstwo jeszcze syna Gabu. Dumni Allearzy nie zamierzają się bratać z tutejszym motłochem w pokazowych walkach.

Tak oto z wojownikiem Ambum we dwójkę zgłaszamy nasz akces do turnieju na rozpoczynające się święto Boga siły i walki, Gragezona. Bierzemy udział w losowaniu przeciwników i już wkrótce, jedynie w przepaskach biodrowych, stawiamy się gotowi do walki.

Na początek muszę stwierdzić, że zastana przeze mnie arena rozczarowuje i to bardzo. W szczególności kogoś, kto miał już wątpliwy zaszczyt występowania w Koloseum samego Etos. Mianowicie mamy toczyć swe walki na twardo ubitej ziemi w sporym okręgu zamkniętym przez szczelną ścianę tarcz trzymanyh przez ściśniętą koło siebie widownię.

Pocieszam się jednak, że przecież nie będę walczył, aby zdobywać próżne zaszczyty i dla czczego poklasku. Oto pragnę fizycznie odreagować upokorzenia ostatniej nie do końca dla mnie upojnej nocy. Natomiast dodatkowo motywuje mnie chęć zaimponowania tubylcom. W końcu darzą nas, przybyszy, zrozumiałą rezerwą, a co bardziej może wpłynąć na poprawę między nami nastrojów, jak pokazanie im, że mają w nas silnych sojuszników? Właśnie... Tak więc czas rozpocząć serię stosownych pokazów.

Moim pierwszym przeciwnikiem jest pewien ciemnowłosy młodzieniec, a ja szczerze żałuję, że nie ten pryszczaty, wygadany synalek jarl Albiny. Ale nic to, nie ma co grymasić. Taksuję wzrokiem obecnego rywala i oceniam, że ten młodzian prezentuje się całkiem okazale. Jest mego wzrostu i na ciele praktycznie pozbawionym tkanki tłuszczowej demonstruje elegancką rzeźbę pokaźnych mięśni. Pręży je jednak aż nazbyt usilnie, co tak naprawdę zdradza jego wewnętrzne napięcie i niepokój ducha. W tym samym kontekście demaskują go zaciśnięte kurczowo pięści i przesadnie zawzięta mina.

W tym momencie gdzieś daleko za moimi plecami rozlega się ryk, jakby niedźwiedzia, co ma sygnalizować rozpoczęcie walki. Tak więc zaczynamy.

Pochodzę rozluźniony do młodzieńca, tuż przed nim czynię kilka lekkich balansów ciałem, wychylając się w jedną to drugą stronę i czekam na atak.

Aż raptem sprowokowany przeciwnik ryczy zupełnie niemal niczym uprzednio zasłyszany niedźwiedź i rzuca się na mnie z pięściami. Umiejętnie schodzą na bok z linii ataku, a jednocześnie zamiatam po skosie nogą, podcinając dolne kończyny młodzieńca. Ten, zaskoczony, pada na ziemię. Ale błyskawicznie wstaje i pomny swej pierwszej nieudanej szarży tym razem skacze na mnie, obejmując moją osobę w tułowiu. Następnie biegnie ze mną aż do krańca kręgu, gdzie uderzam plecami w tarcze trzymane przez widownię. I już zamierzam obalić przeciwnika ciosem łokcia w plecy, ale z pewną fascynacją obserwuję, jak ten wyje z pianą na ustach i traci wszystkie siły, próbując mnie rozpaczliwie przepchać przez mur z tarcz, co mu się oczywiście nie udaje. Aż w końcu, zmordowany, sapiąc niemiłosiernie po wielkim wysiłku, odstępuje mnie na krok.

Wtedy, gdy próbuje on złapać miarowy oddech, ja sam, uwolniony, jakby od niechcienia wymierzam mu kopniak z półobrotu prosto w twarz. W wyniku ciosu młodzik się cofa oszołomiony jeszcze o krok i zdeorientowany potrząsa głową oraz mruga oczyma.

Wobec tego stwierdzam, że czas kończyć rozgrzewkę, jaką jest dla mnie pierwsza walka. Błyskawicznie podskakuję do przeciwnika i kilkakrotnie uderzam go pięściami w brzuch, zupełnie niczym worek treningowy. A kiedy zdeorientowany młodzieniec pochyla głowę, wieńczę sekwencję ciosów hakiem w jego podbródek, tak że łepetyna raptownie odskakuje mu do tyłu.

Solidnie obity wojownik chwieje się niepewnie na nogach, po czym ostentacyjnie z rozpostartymi ramionami pada na ubitą ziemię. To finał tego starcia, a ja, kłaniając się lekko, zbieram od publiczności powszechne pomruki uznania.

Zaraz mur z kręgu tarcz się w jednym miejscu rozstępuje i opuszczam miejsce dziecinnie łatwej dla mnie potyczki. Mijam się z wojownikiem Ambum, który będzie teraz walczył i kieruję kroki w pobliże pniaka drewna, aby usadzić tam swój tyłek i odpocząć. Choć prawdę powiedziawszy, nie za bardzo się zmęczyłem, a na pewno mniej niż uprzedniej nocy.

Dalej sprawy toczą się zgodnie z oczekiwaniem. Tak jak słońce systematycznie przesuwa się po nieboskłonie, tak ja oraz syn Gabu kolejno i bez większych trudów eliminujemy swych przeciwników.

Aż wreszcie nastaje już wieczór w święto Gragezona, a wraz z nim czas na ćwierćfinałowe walki. Tym razem pierwszy walczy Ambum i co raz wykrzykując swe imię, pokonuje on, w tradycyjnie z jego udziałem dość krótkiej walce, tutejszego czempiona. Po nim, ja sam, ciągle pewny siebie i ze sporym zapasem sił wkraczam dumnie na plac i wówczas zastygam z wielkiego wrażenia czy może przerażenia nawet.

Oto staje naprzeciw mnie nie tyle góra mięśni i kości, co kości, mięśni oraz przede wszystkim tłuszczu. Nie potężny mężczyzna, a monstrualna kobieta. Także nie tylko mój obecny przeciwnik, ale również moja ostatnia kochanka. Tak, mam się pojedynkować nie z kim innym, jak z samą jarl Albiną. I po pierwszym szoku muszę przyznać, że uczynię to z prawdziwą ulgą. Ponieważ na pewno wolę walczyć z uzurpatorką niż się z nią ponownie kochać. I tym razem nie zamierzam być cały czas na dole, bynajmniej.

Tuż po gardłowy ryku niedźwiedzia podskakuję rącho niczym młody jelonek do kobiety i po dwóch markowanych ciosach pięścią trzeci mój atak dochodzi celu, czyli nalanego, kobiecego policzka. Ten odkształca się wyraźnie pod wpływem nagłego nacisku, lecz nie wydaje się, aby właścicielka trafionej twarzy doznała szczególnego uszczerbku na zdrowiu. Przechyla jedynie głowę w bok aż trzeszczą jej kręgi szyjne, po czym sama wyprowadza potężny, prawy sierpowy.

Zaskoczony nie nadążam całkiem zejść z linii ataku i otrzymuję nieczysty cios w ramię, a mimo to zostaję natychmiast okręcony wokół własnej osi o sto osiemdziesiąt stopni. I zanim zdążę zareagować, dostaję, niczym obuchem, pięścią w plecy.

Obecnie jestem dosłownie wystrzelony do przodu i zaraz padam na ziemię, ryjąc twarzą w twarde podłoże. Z grymasem bólu wspinam się na rękę, ale zamiast wstać, na wszelki wypadek turlam się na bok. I jest to ze wszech miar słuszny ruch, ponieważ tam, gdzie dopiero co spoczywałem, trafia potężna stopa jarl Albiny, którą kobieta zamierzała wgnieść mnie w podłoże.

Tak więc dopiero teraz skaczę na równe nogi. Dla otrzeźwienia potrząsam głową i kilka razy podskakuję w miejscu, w tym rozmasowuję ręką obolałe plecy. I już jestem gotowy do dalszej walki.

Lecz tą zdecydowanie zamierzam prowadzić teraz na dystans, dlatego na początek w ruch idą błyskawiczne kopniaki. Praktycznie każdy z nich dochodzi celu, zatrzymując się z reguły na monstrualnych ramionach postępującej ku mnie ociężałe kobiety. Choć moje stopy dochodzą także jej boków, gdzie żebra są dokładnie osłaniane, niczym elastycznym pancerzem, grubą warstwą tłuszczu.

Aż niefrasobliwie wykonuję kopnięcie w sam środek kobiecego brzucha, gdzie moja stopa dosłownie ginie pomiędzy obwisłymi fałdami. Na domiar złego jarl Alibna ciągle na mnie napiera, przez co tracę na moment inicjatywę i skacząc na jednej nodze, się cofam, drugą mając ciągle wtopioną w brzuch przeciwniczki

I naraz potężna wojowniczką łapie moją sterczącą poziomo dolną kończynę, po czym ciągnie za nią z całych sił w bok, okręcając się wokół własnej osi. W konsekwencji nie mija dłuższa chwila, a doznaję prawdziwego obłędu, kiedy moja druga noga odrywa się od ziemi i jestem raz za razem okręcany ruchem wirowym w powietrzu wokół jarl Albiny.

Żołądek szybko podchodzi mi do gardła i zaraz spodziewam się najgorszego, to jest zroszenia publiczności treścią mego żołądka. Gdy wtem kobieta puszcza mnie i szybuję prosto w mur tarcz, z którym to zderzam się z głuchym hukiem. Opadam półżywy na ziemię, przekręcam głowę w kierunku mej przeciwniczki i widzę, jak ta niewzruszenie kroczy wprost na mnie. Zapewne z takim samym zamysłem, jak ostatniej nocy, aby mnie samego zmiażdżyć, a sobie samej zapewnić rozkosz, obecnie wygranej.

Nagle na wspomnienie katuszy ostatnich igraszek miłosnych z jarl Albiną wzbiera we mnie prawdziwy gniew przyprawiony solidną szczyptą męskiej dumy. Przeto nie zamierzam się poddać ani okazać słabości. Zamiast tego przebiegam na czworakach pomiędzy gigantycznymi nogami wojowniczki wielkimi niczym marmurowe kolumny w cesarskim pałacu w Etos. Tym samym zbudzam śmiechy wśród obserwującej starcie gawiedzi. Wszak przede wszystkim udaje mi się wyjść cało z opresji i przyjmuję pozycję pionową ponownie gotowy do walki. Podobnie jarl Albina,

prawdziwa kobieta monstrum, rusza na mnie, dając do zrozumienia, że i ona nie ma zamiaru zwalniać tempa.

Zatem spotykamy się na środku placu i pierwszy cios pięścią w podbródek otrzymuje uzurpatorka. Kolejny ruch należy do niej. To obszerny prawy sierpowy, przed którym się skutecznie uchylam. Jednocześnie uskakuję w bok i zadaję trzy ciosy pięściami odpowiednio w policzek, kark i szyję. Przeciwniczka obraca się ślamazarnie w moim kierunku. A ja wymierzam jej lewy sierpowy prosto w nos. Poniżej niego twarz kobiety zalewa się krwią, a ona sama wyciąga do przodu kolano.

To widocznie kopnięcie w jej wykonaniu. Jest ono doprawdy niezdarne, przez co bez trudu schodzę z linii ataku – lecz gdyby uderzenie dosięgło celu, niewątpliwie zostałbym definitywnie pozbawiony możliwości dalszego płodzenia potomstwa. Z kolei w rewanżu sam wymierzam kopniak w krocze kobiety.

W tym momencie spogląda na mnie zaskoczona, a ja na nią. I z lekka wzruszam przepaszając ramionami. Fakt to doprawdy afront z mej strony, że w ferworze walki przez chwilę z powodu waleczności jarl Albiny biorę ją za przedstawiciela płci brzydkiej, by dosięgnąć bolesnego miejsca.

Urażona kobieta najwyraźniej pragnie mnie skarcić, bo wyprowadza ku mnie cios prawym prostym w tors. Atak dochodzi celu, odbierając mi na jakiś czas oddech. Ale przeciwniczka też już widocznie odczuwa trudy walki, bo pozostaje na miejscu. Dzięki temu podarowany zostaje mi czas, w którym zbieram się w sobie, po czym ponownie podskakuję do jarl Albiny i uparcie rażę jej twarz całą serią ciosów, to używam jej gigantycznych piersi jak worków treningowych.

Ta sytuacja powtarza się raz za razem. Napieram i trafiam mocno, by odskoczyć do tyłu, moment odsapnąć i ponowić atak. Mimo to dzielna wojowniczką, która przyjmuje już na swe lico, i nie tylko na nie, niesamowitą ilość uderzeń, nie ustępuje. Zaś owocem moich ataków staje się to, że nalana twarz mojej przeciwniczki puchnie coraz bardziej, przyjmując obraz wyrzuconej na brzeg bezkształtnej meduzy. Usta jarl Albiny są popękane i rozdęte do granic możliwości, nos rozkwaszony i złamany. Z łuków brwiowych leje się krew, a oczy otula niezwykle

nabrzmiała tkanka. I to do tego stopnia nabrzmiała, że w pewnym momencie kobieta charczy, wypowiadając znamienne słowa:

– Ciemność... nic nie widzę... – I przebiera przed sobą jakby po omacku rękoma.

To niepowtarzalna szansa dla mnie – myślę tak, zagryzając z przekąsem wargi i zaciskając pięści. Gdy raptem na twarz jarl Albiny spada nie moja pięść, a rzucona z widowni biała płachta i rozlega się wyjątkowo piskliwy głos pryszczatego młodzieńca:

– Wystarczy! Moja matka...

– Przegrała... – chrypię, rozumiejąc, na co się zanosi.

– Nie, nie przegrała! – zaciętrzewia się młodzian. – Ona... wycofuje się z walki... – Po tym oświadczeniu syn jarl Albiny wkracza na plac i pomaga naraz ośleplej matce opuścić tutejszą arenę. Zaś do mnie nie omieszka kąśliwie rzucić: – Tej nocy nie będzie bara-bara... – Pokazuje palcem na bezlitośnie obitą przeze mnie kobietę. – Znajdź sobie inne lokum, brutalu... – dodaje z pretensją.

Na te słowa dopiero teraz czuję się naprawdę zwycięski i odruchowo w geście triumfu unoszę ramiona. Towarzyszą mi nieśmiałe oklaski i gwizdy gawiedzi. Ja natomiast jestem nieomal wzruszony! I pal licha wygraną w turniejowej walce oraz otwartą drogę do półfinału. Oto tej nocy będę mógł spać spokojnie i przede wszystkim bezpiecznie jak dziecko. To doprawdy prawdziwa nagroda!

Tymczasem nadchodzi już półfinał. Niebawem jestem na niego poprowadzony. Jednakże, kiedy staję naprzeciw swego obecnego przeciwnika, po chwili konsternacji natychmiast proszę o białą płachtę. A otrzymawszy ją, bez żenady kładę ją sobie na głowę, po czym wśród wyszydzających mnie obelg publiki opuszczam w niesławie o zachodzie słońca plac imitujący arenę. Ale nie, nie będę walczył z zaprezentowanym mi monstrum, wszystko ma swoje granice, a te zostają właśnie przekroczone. Otóż w półfinałowej walce miałem się zmierzyć z samym, najprawdziwszym, brunatnym niedźwiedziem. Oczywiście aż tak szalony nie jestem, zatem zostawiam ten zaszczyt komu innemu. I o dziwo ten ktoś z tego wyróżnienia skwapliwie korzysta.

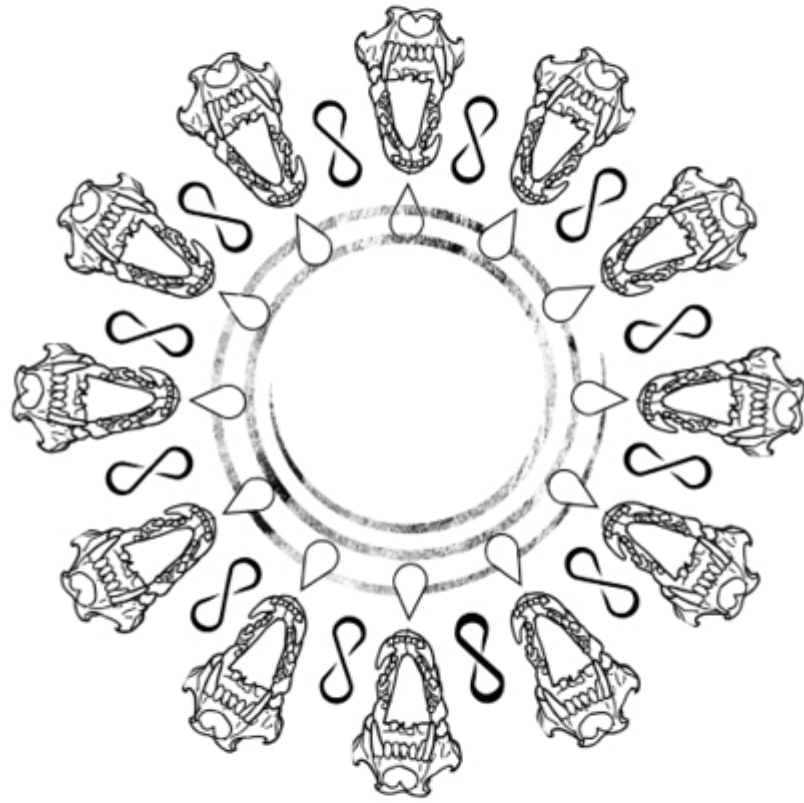
Cały turniej Gragezona wygrywa bowiem wojownik Ambum, kładąc w finałowej walce niedźwiedzia na łopatki. Doprawdy niesamowity widok, który sam staję się także moim udziałem.

A ja sam? Zaszczycenie dochodzę przecież aż do półfinałów, co w dłuższej perspektywie mam nadzieję, iż zostanie należycie docenione. Albowiem sam doceniam to wyjątkowo, sycąc się już wkrótce prawdziwą rozkoszą samotnego, spokojnego snu.

Podobnego stanu, pełnego relaksu, zażywam w kolejne dni. Podczas gdy do warowni jarl Albiny zjeżdżają lojalni wobec niej ludzie, a ona sama, pod pieczę pryszczatego młodzieńca i tutejszych znachorów powoli dochodzi do siebie.

Poza tym nieklamany podziw, z wiadomych względów, zyskuje wśród mieszkanki wioski wojownik Ambum, który po prostu nie może się opędzić od tutejszych kobiet. Ponoć same ze sobą toczą walki i to nieraz krwawe, aby tylko móc towarzyszyć synowi Gabu w łożu i w konsekwencji mieć szansę na potężnego potomka, przyszłego pogromcę niedźwiedzi.

To zachowanie tutejszych niewiast w pewnym zakresie tłumaczy mi zakusy na męskość wojownika Ambum pochodzącej z konfederacji Favens Viri. Wszak również i ona gustowała w bliskim obcowaniu z obecnym czempionem święta Gragezona. Lecz Viria ostatecznie przystaje do Nail, jej wybór. Natomiast ja sam jestem tu i już niebawem ponownie będę toczył ciężkie boje, tym razem o ważniejsze rzeczy, a mianowicie przyszłość tegoż władztwa, jak i całego kontynentu Pendorum.



V. POWIĄZANIA

Mija już nieco czasu, odkąd wyruszam z wyspy bez nazwy w nieznane. Mam wrażenie, że przez ten okres wydarzyło się tyle, iż wystarczyłoby na obdzielenie kilku żywotów. I nie ukrywam, że znacząco czuję się wyrwany z mego pierwotnego, spokojnego istnienia oraz bezpieczeństwa domowych pieleszy. W każdym razie niewątpliwie w odmieniony sposób patrzę teraz na otaczający mnie świat, jak i samego siebie.

Tak, jestem już starszy, o wiele bardziej doświadczony, a przede wszystkim takim właśnie się czuję, dojrzałym, mocniej ukształtowanym. Poznałem różne aspekty życia w tym fizycznej miłości czy tej doświadczanej za sprawą serca. Także inne, nowe doznania silnie wywarły na mnie swój wpływ.

Tą drogą wiele spraw niemal zupełnie traci dla mnie na znaczeniu, inne z kolei urastają do rangi absolutnych priorytetów. Lecz takich, które obecnie mają solidne fundamenty i nie porzucę ich z błahego powodu. Wśród nich na piedestale jest niewątpliwie dobro Pendorum, o które będę walczył z całą, należną powagą. Natomiast na pomniejszych sprawy, jak i samego siebie, dane mi jest na ten czas spojrzeć z większego dystansu i uśmiechnąć się nieraz z przymrużeniem oka. Zaiste pozbycie się ciężaru dumy zdejmuje swoistą ociążałość z umysłu i mimo przeciwności losu pozwala pogodniej patrzeć na świat. Nawet jeżeli ten ukazuje się nam od strony, którą być może nie do końca pragnęlibyśmy akurat oglądać.

Rozmyślając tak z końskiego grzbietu, odwracam wzrok od monstrualnych pośladków jadącej przede mną na potężnej kobyle jarl Albiny. Spojrzenie kieruję na towarzyszących jej po bokach innych jarłów. Potem na jadącego przy mnie wojownika Ambum całego obwieszzonego świeżymi wieńcami kwiatów – szczęściarz. Na koniec patrzę przez ramię i ten widok chyba najbardziej mnie satysfakcjonuje. To wijące się węzowym

ruchem połączone wojska Allearów oraz ludzi z konfederacji w sumie blisko trzy tysiące żołnierzy, a więc znacząca siła.

Pokrzepiony tym pokazem militarnej potęgi poganiam rumaka i zrównuję go z jarl Albina, której twarz ciągle nie do końca przypomina ludzką, a bardziej jakiegoś pulchnego stwora. Następnie oznajmiam kobiecie, że zgodnie z naszymi wcześniejszymi ustaleniami wyruszam samotnie przodem do miasta konfederatów, Jarkis, gdzie rezyduje jarl Płaskonosy obecny naczelny wódz konfederacji Favere.

Jarl Albina się nie odzywa, najwyraźniej oszczędzając popękane usta i słusznie, a tylko kiwa mi głową na zgodę. Zaraz jednak łapie się ona z boleścią za kark, w którym, zdaje się, coś chrupnęło. Tak więc czym prędzej schodzę obolałej kobiecie z oczu, jako sprawca jej fizycznej udręki i ochoczo poganiam wierzchowca galopem naprzód.

Jeszcze tego samego dnia, wieczorem, na zziąjanym rumaku przekraczam bramy niewielkiego miasta, gdzie niemal wszystkie budynki ze spadzistymi dachami są wykonane jedynie z drewnianych materiałów. Ja sam kieruję się do w miarę okazałego obejścia z kamienia, gdzie zgodnie z zapowiedziami jarl Albiny spodziewam się zastać syna cesarzowej Tiry.

Przedstawiam się uprzejmie miejscowym strażnikom i bez oporów jestem wpuszczony na audiencję do jarla. Choć tym razem również nie udaje mi się jej odbyć w cztery oczy. Następnie realizując mój własny plan, roztaczam publicznie przed jarlem Płaskonosym całkiem śmiałą wizję.

W jej istocie zwabiona przeze mnie na otwarte pola jarl Albina prowadzi swych popleczników do boju z prawowitym wodzem konfederatów, czyli mój obecnym rozmówcą. Ten wychodzi uzurpatorce dumnie naprzeciw, nie inaczej, tylko ze swoimi sojusznikami. I kiedy obie armie zwracają się ku sobie, wtedy do akcji wkraczają moi Allearzy. Mianowicie w ostatniej chwili zmieniają oni front i atakują zaskoczone wojska jarl Albiny, tym samym przyczyniając się do jej pogromu. W efekcie uzurpatorka wraz z poplecznikami zostaje zmiażdżona. Z kolei jarl Płaskonosy oraz ja sam, jego na ten czas serdeczny przyjaciel, w spokoju przygotowujemy plan odparcia nadciągających tu już ponoć wojsk barbarzyńców z Otchłani z samym Gragezonem na czele.

To tyle odnośnie do mojej propozycji. Natomiast na odpowiedź muszę trochę poczekać, albowiem syn Tiry, zanim podejmie decyzję czy mi zaufać, udaje się na długą naradę ze swoimi ludźmi i dla odmiany prowadzoną za zamkniętymi drzwiami.

W podarowanym mi czasie wyruszam do miasta, a ściślej na rekonesans do podrzędnych karczm, aby załatwić tam pewną sprawę. Kiedy zaś kolejnego dnia powracam do jarla Płaskonosiego ten raczy mnie pozytywną odpowiedzią. Zgadza się w pełni na mój przewrotny plan, wszak nalega, abym już od teraz nie odstępował go niemal na krok i podczas nadchodzącej bitwy był u jego boku.

Osobiście przystaję na to, stwierdzając, że odpowiednie rozkazy mogę przekazać podległym mi Allearom za pomocą tajnych listów, a na polu bitwy wielobarwnych sztandarów. Jednocześnie z duszą na ramieniu oczekuję warunku, że aby nasz pakt został ostatecznie zawarty, będę zmuszony wspólnie z jarlem spędzić upojną noc.

Jednakże moje obawy są bezzasadne, jestem należycie ugoszczony, a nocami przychodzi mi sypiać samotnie. Zaś już po kilku dniach wyruszam wraz z armią jarla Płaskonosiego naprzeciw wojskom jarl Albiny.

Ta okopuje się w warownym obozie pomiędzy wzgórzami i przed umocnienia z drewna oraz kamieni wysuwa linie swoich wojsk w sumie blisko ponad dwa tysiące wojowników.

Jak widać z naszych obecnych pozycji, Allearów nie ma wśród wojsk uzurpatorki, co jarl Płaskonosy kwituje, posyłając mi uprzejmy uśmiech. Odwzajemniam mu własny i w tym momencie nawiązujemy niby od niechcienia, niby swobodną rozmowę:

– Zaiste piękny mamy dziś dzień... – stwierdza, siedzący w siodle jarl. To blisko czterdziestopięcioletni mężczyzna średniego wzrostu z nienaturalnie płaskim nosem, zupełnie jak po celnym, prawym sierpowym jarl Albiny, a ponadto z bujnym, ciemnym zarostem na twarzy. Czyżby skrywającym inne defekty urody? Nie to jest najistotniejsze. Wartość natomiast posiada fakt, że władca ten daje mi się do te pory poznać jako ktoś całkiem rozsądny, opanowany, a do tego osoba o całkiem łagodnym usposobieniu i zgodnie z tym duchem jarl kontynuuje: – Słońce grzeje,

wiatr gładzi trawy i liście drzew... Zaprawdę aż żal będzie posyłać na rzeź całe setki niewinnych ludzi. Nie uważasz, Avezanie...?

Ja sam, zasiadając z boku na koniu, wzruszam tylko ramionami i spoglądam na moje paznokcie, zupełnie jakby ich obecna czystość oraz długość były dla mnie bardziej istotne niż życie rzeszy istot. Ale zaraz wbijam wzrok w odległą panoramę, gdzie prezentują się dumnie zastępy jarl Albiny i tajemniczo oznajmiam:

– Być może jednak istnieje jakiś sposób, aby zakończyć ten konflikt bez przelewu krwi...

– Może mam się pojedynkować z uzurpatorką...? – Jarl wymownie puszcza mi oko. Na co uśmiecham się kwaśno i równie kwaśno oświadczam:

– Zdecydowanie odradzam, sam już tej sztuki próbowałem. Za to może wypadałoby nie iść na konfrontację z silniejszym wrogiem. W końcu co przyjdzie z zagładania w paszczę samemu niedźwiedziowi...?

– Hm... – mruczy jarl, przeczesując swoje długie, ciemne, lekko kręcone włosy. – Sugerujesz, że niby ja jestem w tej stawce na przegranej pozycji i staję wobec prawdziwej niedźwiedzicy...? – Władca mierzy mnie krytycznym wzrokiem. Ja zaś, zamiast odpowiedzi, wskazuję mu prawą flankę jego wojsk, gdzie z linii lasu właśnie wyłania się niemal pięć setek moich konnych Allearów. – Cóż... – odpowiada na ten widok nad wyraz spokojnie jarl Płaskonosy. – Więc to zdrada, perfidna zdrada i wbity nóż w plecy z twojej strony, Avezanie... To po prostu podłe... – stwierdza pewien oczywisty już fakt. Na co po raz pierwszy wkładam trochę więcej wysiłku w swoje słowa i tłumaczę:

– Właśnie po to, aby okoliczne wzgórza, pola i lasy nie spłynęły obficie krwią setek wojowników, sięgam po zdradę. Wybacz mi, jarlu, albo i nie, ale nie znalazłem innego wyjścia. Zatem tak, zaiste, jesteś na przegranej pozycji. Nie masz szans i muszę prosić cię o honorową kapitulację...

– Honor, oczekujesz ode mnie honoru? Przecież sam nie masz go w sobie ani krzty ... – zauważa beztrząsowo władca. – Więc jak mam ci tym razem zawierzyć, hm...?

– Mimo wszystko nalegam, abyś wywiesił białą flagę... – mówię markotnie, albowiem bynajmniej nie jestem dumny ze swego niecnego

fortelu. Z kolei jarl Płaskonosy wzdycha głęboko i w całkiem opanowany sposób wykonuje gest do swego adiutanta. Ten dobiera odpowiednią flagę i macha nią w górze. Ja natomiast, chwilowo uspokojony, zaraz dostrzegam, że niestety nie jest to jednolicie biała chorągiew, tylko naznaczona trupimi czaszkami, czarnymi namalowanymi na białym tle i w liczbie dziesięciu.

Wobec tego spostrzeżenia patrzę pytająco na władcę i obecnie to on wskazuje mi prawą flankę wojsk jarl Albiny. Wyteżam więc wzrok i własnym oczom nie wierzę. Oto z lasu wychodzą piesi i konni żołnierze w zbrojach i biało-czarnych mundurach, a ponad nimi łopoczą flagi imperium Pendorum. Jednocześnie słyszę leniwy głos jarla:

– Spodziewałem się, że mnie zdradzisz, Avezanie, dlatego już dawno posłałem po moich wiernych sojuszników z imperium. Przyprawdzili ze sobą blisko tysiąc doskonałych żołnierzy, więc siły się chyba wyrównują...

– Nie sędzę... – odpowiadam grobowym tonem.

– Nie...? – Jarl marszczy czoło, unosząc wysoko brwi. Osobiście pokazuję mu lewą flankę jego wojsk. Przez wysokie trawy brną tam dziesiątki opancerzonych żołnierzy należących do Zakonu Topora Zielonego Niedźwiedzia. To właśnie efekt moich poszukiwań w mieście Jarkis, gdzie w pewnej karczmie zdobywam odpowiednie namiary na wyklętych tu obecnie zakonników. I w tym momencie nie mogę się powstrzymać, aby nie popatrzeć triumfująco na jarla. Choć zaraz rzednie mi mina, kiedy kątem oka dostrzegam błękitną chorągiew w ręku adiutanta i hen dalej zauważam oddziały wojskowe w niebieskich zbrojach. Nie inaczej tylko pojawiające się na lewej flance wojsk jarl Albiny.

– To najemna kompania zza morza, słynni, choć jeszcze nie w Pendorum, konkwistadorzy. Blisko pięć setek wybornych żołnierzy. Cóż powiedzieć, ubezpieczyłem się... Ot tak na wszelki wypadek, zacny Avezanie...

Osobiście wypuszczam z płuc resztki powietrza i zamierającym głosem, jakby sam siebie, zapytuję:

– I co teraz...?

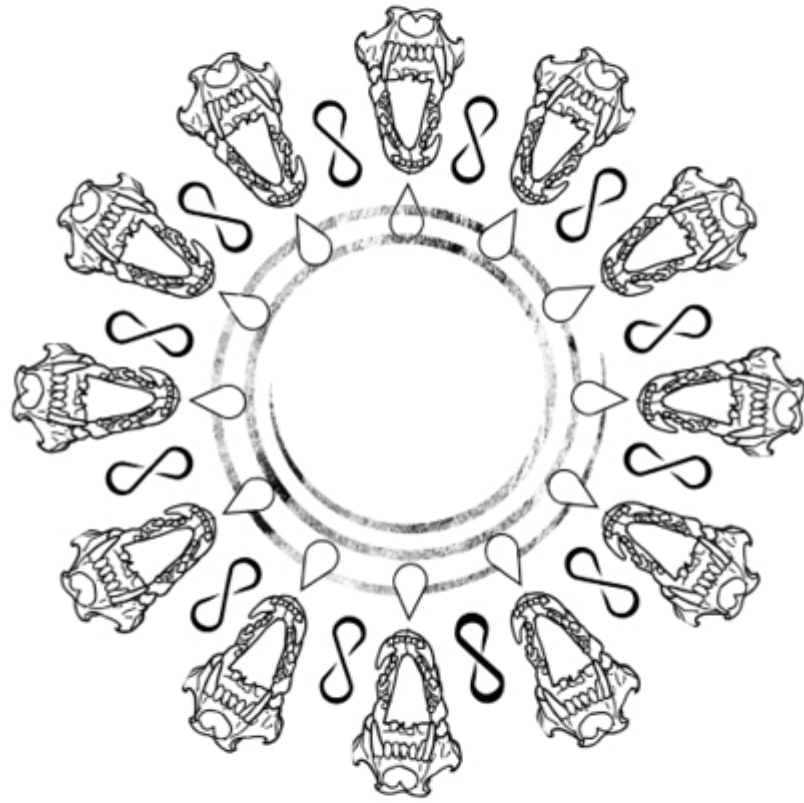
Odpowiedzi udziela jarl, pogodnie oznajmiając:

– W zarysowujących się okolicznościach... zwycięży rzeź lub też... rozsądek...

– Albina się nie podda – stwierdzam z krzywym grymasem na twarzy.

– Ja też nie – oświadcza rezolutnie jarl Płaskonosy i dodaje: – Aczkolwiek pomny tego, że podobno kochałeś moją siostrę, Atrix, i byłeś z nią do ostatnich jej chwil, dam ci dzień na przekonanie Albiny do złożenia broni. Ponadto twoją uprzednią ofertę tyczącą się naszego sojuszu mogę uznać za wciąż aktualną. Dlatego dołącz do mnie, a moje i twoje wojska, a także siły imperium oraz najemnicy wspólnie stawią czoła ponoć nadchodzącemu tu już, prawdziwemu wrogowi, gniewnemu Gragezonowi i jego hordzie z Otchłani. Lecz zaznaczam, że najpierw musimy pokonać pomniejszą przeszkodę, mianowicie uzurpatorkę – oznajmia swobodnie jarl i podsumowuje nasze owocne spotkanie: – Tak więc masz dzień, Avezanie, jeden dzień i liczę, że podejmiesz rozsądną, a zatem jedynie słuszną decyzję...

– Spotkamy się tutaj jutro z samego rana i wtedy przywiozę ci moją decyzję – wyrzucam z siebie, po czym spinam konia i galopuję samotnie prosto do przeciwległego obozu.



VI. NEGOCJACJE

Dopadam na spienionym rumaku do wysuniętej przed swoje wojska jarl Albiny i natychmiast zdaję jej relację z aktualnie zarysowującej się strategicznie sytuacji. Ta bynajmniej nie jest dla nas korzystna. Siły są bardzo, ale to bardzo wyrównane i w razie zbrojnego starcia ciężko byłoby wyłonić jednoznacznego zwycięzcę. Dlatego też ścieram się z uzurpatorką na innym froncie, a mianowicie zażartej dyskusji, namawiając ją do taktycznego odwrotu.

Jednakże jarl Albina, a w szczególności jej pryszczaty syn nie podzielają mojej zachowawczej postawy. Oświadczają zgodnie, że nie po to zebrali w jednym miejscu wszystkich podległych sobie ludzi, aby teraz okazać słabość i uciekać z podkulonym ogonem. Niniejszym stają twardo na stanowisku, że musimy stoczyć walkę, jeżeli jest choć cień szansy na zwycięstwo.

Skoro tak się sprawy mają, co nie jest zaskoczeniem, to decyduję, że tę szansę postaram się zwiększyć. Biorę więc świeżego wierzchowca i na jego grzbiecie gnam w te pędy do obozu sił imperium Pendorum.

Na samą myśl, że ponownie mam stanąć przed obliczem Kalilli albo Exona wzbiera mi gula w gardle i odczuwam pewną słabość. Ale zaraz przeklinam chwilowe poczucie niemocy i zacinam batem konia, dodając sobie tym animuszu. W końcu od spotkania ze wspomnianą imperialną parą przeżywam już tak wiele i przechodzę przez takie trudy, że lękanie się nadchodzącego spotkania byłoby zaiste niedorzecznością.

I oto są. Będący na rumakach koło siebie ramię w ramię Exon oraz Kalilla, moje niedoszłe wujostwo. Niegdyś spodziewane wybawienie, a jak się okazało jednak przekleństwo i to powielające się raz za razem. Co zaś z naszego spotkania wyniknie obecnie? Niebawem wszyscy zbierzemy tego słodkie lub też zepsute owoce.

Zatrzymuję się konno przed władcami imperium i oschle z siebie wyrzucam:

– Witajcie. – W odpowiedzi para na białych rumakach patrzy tylko po sobie i nic nie odpowiada. Zatem ja sam silę się na kolejne słowa: – Wiedźcie, iż nie zamierzam rozdrapywać starych ran, tego, co mi uczyniliście. Co więcej, koncentrując się na terażniejszości, jestem wam nawet gotów wspomniałomyślnie wybaczyć i puścić wasze winy w niepamięć. Wystarczy, że na ten czas wykażecie się rozsądkiem.

– Co według ciebie, Avezanie... byłoby rozsądne poczynić z naszej strony...? – pyta wyniośle i zachowawczo zarazem Kalilla, kładąc rękę na trzonku swej zdobnej, srebrzystej włóczni. Na co próbuję nieudolnie rozładować napiętą atmosferę, oznajmiając:

– Do takowych czynów na pewno nie zaliczyłbym pojedynku pomiędzy nami...

– Licz się ze słowami i przedstaw ofertę, jeżeli mamy ją na poważnie rozważyć – rzuca z kolei władczo Exon. Mierzę starszego mężczyznę wzrokiem i rzeczywiście decyduję się przejść do sedna sprawy:

– Prawdziwy wróg to gniewni Bogowie, którzy systematycznie niewolą całe Pendorum. Dlatego za nic nie możemy dopuścić, aby tu, wokół nas wykrwawiły się wspólnie jedno z ostatnich wojsk, mogące zapobiec nadchodzącej katastrofie.

– O ile doszły mnie słuchy, to sam sprowokowałeś naszą konfrontację, Avezanie... – zauważa, mówiąc już nieco łagodniejszym tonem Kalilla. Osobiście drapię się niefrasobliwie po karku, a jednocześnie słyszę pewny siebie głos Exona:

– Wycofaj się z uzurpatorką albo przynajmniej odwołaj zakonników zielonego niedźwiedzia i swoich... Allearów.

– W sumie... to sam chciałem wam zaproponować zmianę frontu... – Posyłam parze przede mną szelmowski uśmiech.

– Nie czas na kpiny. – Imperator mrozi mnie srogim spojrzeniem. Natomiast jego żona, jakby zniecierpliwiona wywraca oczy do góry. Następnie spogląda na mnie spokojnie i w tym samym tonie mówi:

– Tak jak wcześniej, tak teraz nie pragniemy twej zguby, Avezanie. Ale tylko o ile nie wchodzisz nam w paradę. Zatem zejdz nam uprzejmie z drogi i się ratuj albo też zwyczajnie przejdziemy po tobie... – Nachyla się ku mnie w siodle i czyni ze wszech miar kuszący uśmiech. Ten zaraz się znacząco poszerza, kiedy do pani imperator podchodzi piastunka i usłużnie oświadcza:

– Pora karmienia, Wasza Wysokość...

– Przepraszam... – Kalilla kłania mi się lekko, wypinając dumnie podejrzenie obfity biust. I już chwyta wodze, aby pokierować swego rumaka w odpowiednią stronę, kiedy energicznie do niej mówię:

– Dziecko?! Masz dziecko? Nasze dziecko?!

Wobec tego pytania kobieta nagle przyjmuje niezwykle srogie oblicze i ze złością do mnie przemawia:

– To nie jest nasze dziecko! Nie nasze! Tylko obiecane moje oraz Exona, które zsyła nam za twoją sprawą mityczna Anrea, rozumiesz?!

– Tak, chyba tak... – odpowiadam kompletnie skołowany, wspominając pewien upojny incydent na łóżku Kalilli w jej zamku. Ona, ciągle zacierzewiona, dalej posykuje:

– Wiedz, synu Anrei, że jarl Płaskonosy jest od dawna naszym wiernym sojusznikiem, dlatego tylko tracisz czas, próbując nas przekabacić. I doprawdy nie mam pojęcia, co mógłbyś nam zaoferować, abyśmy zmienili front. Sama nie wyobrażam sobie nic tak cennego.

– Może... następne dziecko... ? – Z kąśliwym uśmiechem na ustach zamiatam wzrokiem ponętną sylwetkę pani imperator, zatrzymując wzrok na jej łonie. W odpowiedzi widzę raptownie wysunięty ku sobie grot srebrzystej włóczni i słyszę srogo rzucone słowa:

– Jak śmiesz?! Jak śmiesz?!

– Pani...? – Zdenerwowaną kobietę otaczają naraz konni gwardziści z rękoma na rękojeściach mieczy.

– Zostawcie go... – powraca do dyskusji Exon, czyniąc to z ciężkością w głosie. – On już odjeżdża, nieprawdaż...? – Spogląda na mnie surowo.

– Prawda... – powarkuję, nawracając rumaka. A zza pleców jeszcze posyłam pytanie: – Chłopiec czy dziewczynka?!

– Mamy syna... – odpowiada grobowym tonem Exon i złowrogo dodaje:
– I będziemy bronić naszego syna zajadlej niż całego naszego imperium. Wiedz to i pamiętaj o tym, gdybyś jednak nieroztropnie zdecydował się skrzyżować z nami oręż. Jeżeli zaś odpuścisz, bądź pozdrowiony i bywaj zdrów. A najlepiej opuść na zawsze kontynent Pendorum. Ty, czy twoja matka... Z waszej obecności nie wynika tu nigdy nic dobrego, a tylko leje się krew...

Zbywam tę ostatnią wzmiankę odczuciem obojętności w mym sercu. Albowiem nikt już nie podetnie mi na dobre rozpostartych skrzydeł strażnika Pendorum. I chyba teraz już wiem, czemu niektóre dzieci Anrei posiadają specyficzne, pierzaste atrybuty na plecach. To znak boskości, skrzydła, za których sprawą można się wznieść wyżej ponad czysto ludzkie wartości i spojrzeć z góry na świat z szerszej perspektywy. Wtedy można zobaczyć, że walka jest często niezbędną, po prostu nie da się jej uniknąć. Zaś cały sekret polega na tym, aby skutecznie i przeciw właściwym siłom skierować swój oręż.

Z takimi wręcz natchnionymi myślami docieram konno do obozu zamorskich najemników nazwanych przez jarla Płaskonosęgo konkwistadorami. Tutaj obserwuję pewne rozprężenie w zbrojnych szeregach, z czego wnioskuję, że i w innych obozach staje się już jasne, że dzisiaj bitewnego starcia nie będzie.

Następnie po zapowiedzi tego, kim jestem oraz celu mojej wizyty, jestem spokojnie prowadzony do zwierzchników tutejszej armii. Po drodze mijam mocno opancerzone rumaki oraz dosiadających ich jeźdźców w masywnych zbrojach, a uzbrojonych w lance oraz szable. Stacjonują tu także liczne oddziały ciężkozbrojnych pikinierów oraz kuszników. I po krótkich oględzinach szybko dochodzę do wniosku, że starcie z najwyraźniej dobrze zorganizowaną armią najemników byłoby naprawdę bolesne zarówno dla moich Allearów, jak i wojowników jarl Albiny.

Zaś już niebawem dane mi jest w namiocie być całkiem ciepło przyjętym przez tutejszych dowódców. Przy czym cechuje ich zarówno niezwykle ubiór, akcent, używanie nieznanymi mi słów, jak i posiadane przez nich specyficzne imiona. To panowie La Furia oraz El Kapitano z ciemnymi, kozimi bródkami oraz długimi podkręcanymi do góry wąsami. Mają oni bufiaste mankiety przywdziewanych koszul, a w skład

nietypowego ubioru wchodzi także szpiczaste kapelusze, zdobne kokardy z falbanami na szyjach oraz szerokie spodnie do kolan, a poniżej nich materiał dokładnie obciskający łydki. I muszę przyznać, że po raz pierwszy widzę tak dużą egzotykę w prezentowanych mi strojach. Z kolei owi zamorscy panowie wypowiadają się niezwykle entuzjastycznie, nieomal krzyżąc, choć nie ma w ich głosie cienia dumy:

– Hola!

– Pozdrawiamy, pozdrawiamy! – odzywają się gromko jeden przez drugiego. Na co ja sam również uprzejmie się witam. A zaraz jestem raczony białym winem z karafki. Pijemy więc wspólnie i zasiadamy w dobrej atmosferze do rozmowy. Swobodnie przedstawiam moim rozmówcom własne plany i nadzieje związane z tym spotkaniem, czyli chęć przeciągnięcia najemników na moją stronę. W zamian słyszę jednoznaczne żądanie:

– Eldorado!

– Srebro, złoto!

Nie jest to dla mnie niespodzianką, że targi toczą się o pieniądze. W końcu mam do czynienia z najemnikami. Zatem roztaczam przed nimi wizję wielkich łupów oraz nieco skromniejszą obdarowania ich moim majątkiem, czyli głównie częścią bogactwa zrabowanego przez zakonniczki srebrzystej łani z księstwa Razzinal.

– Estupido!

– Ty niemądry, niebogaty! – słyszę niestety w odpowiedzi i moje spojrzenie zderza się z raptem dość kwaśnymi minami mych adwersarzy. Dlatego szybko i mój dobry nastrój gaśnie, choć nie całkiem z powodu sporej ilości wypitego wina. Niemniej moja oferta okazuje się najwyraźniej zbyt skromna dla panów La Furia oraz El Kapitano. W konsekwencji z tego wciąż wrogiego dla mnie obozu powracam z niczym i ciągle znajduję się w punkcie wyjścia.

Tak nastaje już wkrótce noc, a ja, lekko wstawiony, udaję się do namiotu jarl Albiny. Po drodze zaś dochodzi do mnie dudniące zawołanie:

– Avezan!

Na widok syna Gabu uśmiecham się serdecznie i przyjacielsko klepię po plecach niedawnego pogromcę niedźwiedzia. Następnie wskazuję mu, aby poszedł wraz ze mną w odwiedziny do uzurpatorki. On przystaje na to i we dwójkę zostajemy przepuszczeni przez strażę, po czym w obszernym namiocie zastajemy pryszczatego młodzieńca szepczącego coś matce do ucha. Na nasz widok drobna szczęka wykrzywia się chłopakowi w prawą, to lewą stronę, co ma chyba obrazować przeżuwane przekleństwo. Choć wspomniany młodzian na głos nic do nas nie raczy wypowiedzieć, ów zaszczyt pozostawiając najwyraźniej mi, jako pierwszemu. Osobiście nie mam zamiaru zaciemniać sytuacji i wypalam bez ogródek, jak się na ten czas sprawy mają, czyli doprawdy źle:

– Jutro czeka nas całkiem możliwa przegrana – nie pozostawiam złudzeń. – Wojska konkwistadorów to zaprawieni w bojach, zdyscyplinowani i dzielni żołnierze, których niestety nie mamy czym dostatecznie przekupić... Z kolei wspierająca jarla Płaskonosę armia z imperium także jest zdeterminowana, aby walczyć po dotychczasowej stronie i wygrać. Zresztą niemniej sam obecny władca konfederacji Favera pragnie koniecznie dać nam łupnia. Słowem wszyscy powyżej wymienieni są nam godnymi przeciwnikami, a jutro mogą się też okazać naszymi pogromcami... – kończę wywód, rozkładając bezradnie ramiona. W odpowiedzi jarl Albina tradycyjnie się nie spieszy, aby zabrać głos i stoi z niezmienną powagą. Natomiast jej syn obejmuje twarz dłońmi i można by pomyśleć, że zamiast zareagować na moje słowa, wyciska sobie w najlepsze paskudne pryszczę. A wobec takiego braku posłuchu, naraz gniewnie zwracam się do jarl Albiny: – Daj mi tu i teraz choć jeden powód, abym nie odwołał moich Allearów oraz zakonników zielonego niedźwiedzia! Chcę to usłyszeć natychmiast albo nie bacząc na mój honor i okazanie słabości, zabieram moich ludzi!

Po tym wybuchu uzurpatorka nadal nie wykazuje żadnych emocji, a mimika jej nalanej, gojącej się twarzy pozostaje zamarła. Dla odmiany jej syn czyni coraz bogatszą kolekcję zakłopotanych min, aż jękliwie piszczy:

– Nie możemy... po prostu nie możemy się wycofać z walki, bo wtedy odwróci się od nas każdy pomniejszy jarl, który jest po naszej stronie. Słowem płaskonosy syn Tiry i tak nas z łatwością zmiażdży niezależnie od tego, że wycofamy wojsko. Zatem jedyne, co mogę zaproponować, to

całkowity posłuch z naszej strony. W związku z powyższym ty tu obecnie dowodzisz, przybyszu... I to na twoje barki składam teraz utrzymanie naszej armii w jedności oraz to, aby nikt jej nie rozgromił. Matko... – Coraz bardziej skonfundowany młodzieniec spogląda wymownie na jarl Albinę. Ona jak gdyby nigdy nic staje na czworakach, zdejmując sobie olbrzymią przepaskę biodrową i podwija przepastną suknię, odsłaniając nagość swych monstrualnych pośladków.

– Ale... eee... – dukam zmieszany. Na co pryszczaty młodzieniec pozbawia mnie złudzeń i wychodząc z namiotu, oznajmia:

– Zgodnie z tradycją musicie dopełnić aktu poddaństwa... Czyli związać się cielesną miłością w należytym na ten czas pozycji...

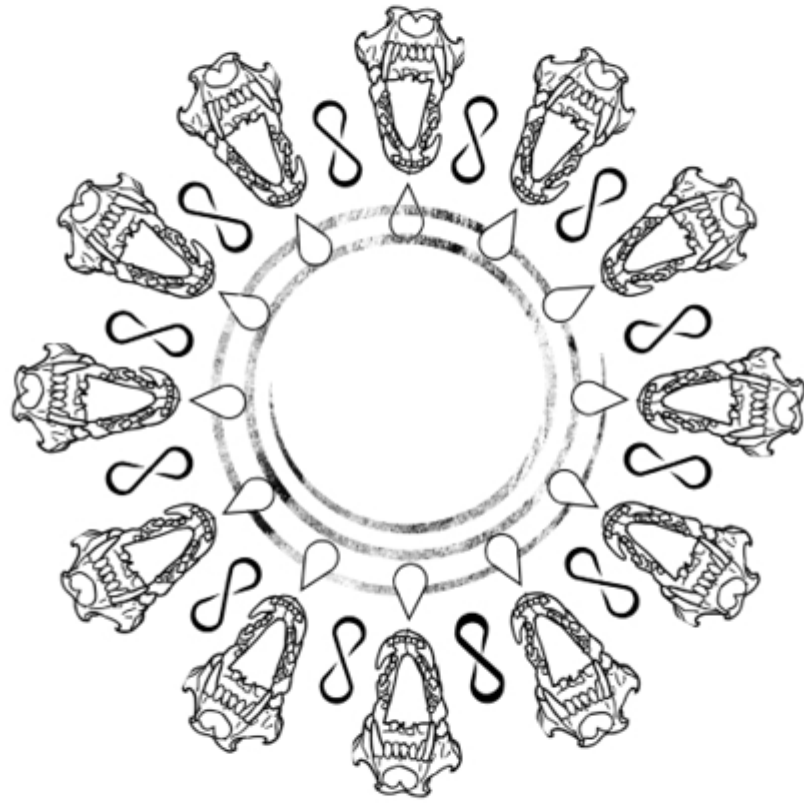
Zostaję w namiocie sam z wojownikiem Ambum, po części obnażoną uzurpatorką gotową już do miłosnego aktu oraz swoją narastającą konsternacją. Aż syn Gabu, spoglądając od tyłu na jarl Albinę, tubalnie wypala:

– Pindzałka!

– Tak i to stosownego dla ciebie rozmiaru... – oświadczam z respektem, klepiąc syna Gabu po muskularnych plecach, aż raptem doznaję olśnienia. I zgodnie z duchem mego nowego pomysłu, wskazując na kobietę, dyskretnie mówię do wojownika Ambum:

– Ta pindzałka jest teraz twoja... I... nie żałuj sobie...

W odpowiedzi syn Gabu spogląda na mnie z błyskiem w oku. Osobiście opuszczam namiot jarl Albiny. Zaś już za chwilę słyszę za plecami nagły, przeciągły, wręcz opętańczy, kobiecy wrzask.



VII. POKAZ SIŁY

Śpię krótko i wyjątkowo niespokojnie, a budzę się z uczuciem głębokiego zniechęcenia. Oto wraz z brzaskiem dociera do mnie z całą siłą, że próba mej interwencji na ziemiach konfederacji Favere najwidoczniej może zakończyć się nie tylko fiaskiem, ale wręcz absolutną katastrofą. Ponieważ zamiast uczynić z tej części Pendorum zarzewie prawdziwego oporu przeciw gniewnym Bogom, to popycham tutejsze klany do bratobójczej walki pomiędzy sobą. A nawet więcej, bo w potencjalny, krwawy konflikt wikłam również imperium Pendorum oraz Zakon Topora Zielonego Niedźwiedzia, Allearów, jak i najemnych konkwistadorów.

Przez to dochodzę do wniosku, iż tym razem zamiast siły i honoru nie pozostaje mi nic innego, jak zademonstrować zdradę oraz słabość. Mianowicie przyjmę propozycję jarla Płaskonosego. Moi Allearzy zmieniają front, a zakonnicy zielonego niedźwiedzia zapewne odstąpią od konfliktu. W ten sposób jarl Albina wraz z poplecznikami zostanie starta w proch. Ja zaś zdam się na łaskę syna Tiry. Choć bynajmniej nie zdziwię się wcale, jeżeli niebawem wyląduję w ciemnych lochu. Naraz dochodzę do wniosku, że być może na takie właśnie miejsce po dzisiejszym dniu najbardziej zasłużę.

Natomiast skrycie planując mą zdradę, tym bardziej niechętnie odbieram rankiem pozdrowienia od jarl Albiny oraz jej synalka. Przy czym pryszczaty młodzieniec, jak i jego matka z niezrozumiałych mi przyczyn wydają się wręcz tryskać doskonałym humorem. Chociaż powodu specyficznego zadowolenia u uzurpatorki mogę się w sumie domyślać. Zastaję ją bowiem w towarzystwie również będącego w wybornym humorze wojownika Ambum.

Na odchodne dochodzę więc do wniosku, że zapewne lepiej niż dowódca czy strateg sprawdzam się jako zwykła swatka i może takie akurat jest me prawdziwe powołanie. Teraz jednak zgodnie z obietnicą daną

jarlowi Płaskonosemu jadę na spotkanie właśnie z nim, aby, nie inaczej, tylko oddać się pod jego rozkazy.

Na miejscu, nie schodząc z rumaka, zajmuję pozycję analogiczną jak wczoraj i z niewielkiego wzniesienia podziwiam z władcą konfederacji Favera rozliczne oddziały w sumie sześciu obozach, które tworzą sobą zbrojny czworokąt. Oto naprzeciw siebie stoją wojska jarla Płaskonosego oraz jarl Albiny. Te ostatnie są wzięte w kleszcze przez imperium Pendorum oraz konkwistadorów panów La Furia oraz El Kapitano. Z kolei oddziały syna Tiry zamykają z dwóch stron zakonnicy zielonego niedźwiedzia oraz moi Allearzy.

– Zatem... jaką decyzję podejmujesz, zacny Avezanie...? – zwraca się do mnie uprzejmie, ale z pewnym siebie uśmiechem władca. Ja sam nie śpieszę się z odpowiedzią, bowiem tak długo, jak jej nie udzielam, pozostaję odważnym człowiekiem honoru. Lecz jednocześnie mam świadomość, że trwającego momentu nie mogę przeciągać w nieskończoność. Dlatego po dłuższej ciszy smętnie oświadczam:

– Moi Allearzy są na twoje rozkazy, panie... Natomiast zakonnicy topora zapewne nie wezmą udziału w walce, kiedy się zorientują, że przypadkiem... zmieniam front. Za to jednak nie mogę ręczyć... – Po tej deklaracji spuszcza nisko głowę i pragnę się zapaść pod ziemię z rumakiem, którego zasiadam. Choć Bogu ducha winny zwierz, miałby zapewne odmienne zdanie. W tym czasie jarl uśmiecha się dobrodusznie, niemal po ojcowsku i jako mój obecny zwierzchnik leniwie dyktuje mi pierwszą komendę:

– Tak więc bądź tak dobry, Avezanie, i poprowadź swych Allearów na tyły wojsk uzurpatorki. W ten sposób ta kobieta znajdzie w moim całkowitym okrążeniu i nikt z jej popleczników nie wyjdzie stąd żywy, o ile nie złoży mi należnego hołdu – kończy dumnie władca. Ja zaś wyjątkowo ślamazarnie wykonuję powierzony mi rozkaz i niespiesznie zmierzam do swoich ludzi. Następnie wraz z nimi zataczam szeroki łuk na polu potencjalnej bitwy i zajmuję haniebną pozycję na tyłach wojsk, którym jeszcze wczoraj sprzyjałem.

Równocześnie zastanawiam się, po której stronie barykady stanie wojownik Ambum, którego skoro świt dyskretnie powiadamiam o mych

niecnych zamiarach. Czy zwycięży w nim pociąg do nowej kochanki, czy też pozostanie lojalny mi samemu, podłemu zdrajcy?

Czas pokaże. A upływa on pod znakiem ruchu poszczególnych formacji wojskowych sprzyjających jarlowi Płaskonosemu, co skutkuje zamknięciem jarl Albiny w kotle.

Obserwuję tę scenerię z prawdziwym niesmakiem, gdy wtem na tyłach wojsk władcy konfederacji Favera dostrzegam nieprzeliczone zastępy jeźdźców. Mrużę zawzięcie oczy, starając się rozpoznać łopoczące w dali na wietrze nowe chorągwie. W tym wysiłku wyręcza mnie jeden z allearskich wodzów, odkrywając przede mną tożsamość tajemniczych przybyszy:

– Konnica czarnego ptaka – stwierdza.

– To... wojska z chanatu Precis...? – mówię z niewypowiedzianym zdumieniem. I nagle jak grom z jasnego nieba wspominam niegdysiejsze słowa przyszczatego młodzieńca o kłótni braci świętej pamięci cesarzowej Tiry. Z tą chwilą pojawia się moje pełne zrozumienie, czemu ów młodzian był dziś rano w tak dobrym nastroju. Zapewne już wiedział o nadciągającej odsieczy dla swej matki.

W takim układzie dyskretnie zerkam na swych allearskich wodzów. Albowiem cóż mam powiedzieć? Chyba wypada mi po raz kolejny pokłonić się komu innemu i tradycyjnie stanąć po stronie silniejszego. Oczywiście dla dobra Pendorum! – gorączkowo zajmują mnie takie właśnie rozważania. Choć w tym akurat momencie chyba najchętniej zabrałbym po prostu moich Allearów, zapakował na statki i popłynął wraz z nimi ot, chociażby na poszukiwanie Wyspy Czarnego Pisaku.

Przez chwilę naprawdę jestem bliski dokładnie takiego czynu, aby skończyć wreszcie z moim przeklętym lawirowaniem i zachować choć trochę godności. Lecz wtedy się okazuje, że to bynajmniej nie koniec spektakularnych nowości na arenie potencjalnych działań zbrojnych.

Oto jak gdyby nigdy nic, od strony królestwa Saladior, czyli wschodu, objawiają się następne, nieprzeliczone konne i piesze zastępy. Zaś niezmiernie długi szereg nowych wojowników wydaje się nie mieć granic. Spoglądam na nich doprawdy osłupiały, a towarzyszący mi allearski wódz ponownie idzie mi z pomocą, podpowiadając:

– Barbarzyńcy z Otchłani. Złowrogi Gragezon nadchodzi.

– Rychło w czas... – odpowiadam zarówno ze zgrozą, jak i niewypowiedzianą ulgą oraz nieskrywaną nadzieją. Bowiem przewrotny los sprawia, że armia inwazyjna Gragezona nadziewa się wprost na całą rzeszę wojsk z serca Pendorum zgromadzonych w jednym miejscu. Zapewne nawet przeszło ponad dziesięć tysięcy ludzi. Tak więc nadarza się zupełnie nieoczekiwana szansa, aby wspólnie skierować oręż na prawdziwego wroga! A równocześnie zachować honor i dać pokaz prawdziwej siły.

Przeto z napięciem obserwuję nadciągające oddziały konnych barbarzyńców i towarzyszące im liczne jednostki pieszych berserków. Zaś jeszcze baczniejszą uwagą darzę poszczególne formacje dwóch zwaśnionych obozów jarla Płaskonosiego oraz jarl Albiny. I raptem moją twarz rozjaśnia niezwykle promienny uśmiech, objawiający się zupełnie niczym wychodzące zza burzowych chmur złociste słońce.

Oto wszystkie zebrane w czworokąt jednostki, pośród których dotąd przebywam, zgodnie zwracają się ku nowemu, wspólnemu nieprzyjacielowi i jedynemu prawdziwemu wrogowi, z którym naprawdę istnieje sens walczyć. Zatem osobiście postanawiam dać wszystkim przykład swoim działaniem. Wyjmuję krótkie ostrze, unoszę wysoko, po czym kieruję je na barbarzyńców i krzyczę ile tchu do Allearów:

– Naprzód, do ataku, za moją świętą matkę, za Pendorum!

Z tą chwilą pięć setek allearskich koni i dosiadających ich jeźdźców gna na prawą flankę pomiotów Otchłani wprost na średnio opancerzoną konnicę barbarzyńców, którzy cały czas jadą stępa. Kiedy znacząco zbliżamy się do nich, daję odpowiedni sygnał wzniesionym ostrzem. Wtedy zwalniamy i niebo zesnuwają setki strzał Allearów, a spadając ku ziemi, kładą one pokotem dziesiątki barbarzyńskich wojowników.

W ich przerzedzonych szeregach słychać donośne dęcie w rogi i również oni ruszają przeciw nam z kopyta. Ja jednak nie decyduję się na frontalne starcie, tylko korzystając z przewagi w szybkości naszych rumaków, pędzę dalej na prawą flankę, rozciągając szeregi wroga i czyniąc w nich wyłom. W ten sposób znaczna część konnicy barbarzyńców, zamiast gnać centralnie na pozycje połączonych wojsk niespodziewanego sojuszu, skręca w prawo. Wówczas zostaje raptem uderzona w bok, przez miażdżącą szarżę ciężko opancerzonej kawalerii konkwistadorów.

Właśnie tego oczekiwałem i w tym momencie nawracam moją grupę, po czym idę na odsiecz panom La Furia oraz El Kapitano. Moi Allearzy zdążają wystrzelić jeszcze dwie salwy strzał i dochodzi do walki w zwarciu, gdzie wojownicy w lekkich biało-zielonych zbrojach przezbrają się na miecze i tarcze.

Współ z konkwistadorami skutecznie rozbijamy całą prawą flankę wroga, która oddziela się od głównej formacji barbarzyńców. Następnie formujemy nasze szyki w zorganizowaną całość, aby ponownie zaatakować.

W tym czasie, kiedy poszczególni allearscy dowódcy skupiają wokół siebie swych ludzi, wjeżdżam konno na najbliższe wzniesienie. Dostrzegam z niego, że główny impet wojsk barbarzyńskich został skierowany na centrum sojuszu, gdzie ciężka konnica z Otchłani wspierana przez berserków zadaje znaczące straty po stronie wojsk jarla Płaskonosego. Z kolei daleko na lewej flance zauważam kluczącą lekką konnicę chanatu, która ostrzeliwuje z łuków ścigając ją piechotę ciężko opancerzonych półludzkich wojowników z głowami niedźwiedzi.

Odczekuję jeszcze chwilę i z wielkim zadowoleniem widzę, jak wojska jarl Albiny szturmują pozycje w centrum, ratując tam stanowiska wojowników jarla Płaskonosego. Ponadto daleko na lewej flance do akcji wkraczają zakonnicy topora, którzy ścierają się w morderczym starciu z piechotą Gragezona.

Wielce pokrzepiony widokiem wspólnej, zaciętej walki sam z moją najszybszą formacją kieruję się daleko na tyły wrogich wojsk. Kiedy osiągamy tę pozycję, moi Allearzy bez pardonu ostrzeliwują z łuków plecy wrogich berserków. Zadajemy im poważne straty i tym samym ratujemy sytuację w centrum, gdzie dochodzi do przesilenia i szala zwycięstwa przechyla się na naszą stronę. Co ma miejsce szczególnie po kolejnej szarży kawalerii konkwistadorów.

Natomiast na lewej flance pojawiają się wojska imperium Pendorum i dają tam skuteczny odpór pomiotom Gragezona, gdzie dodatkowo dwoi się i troi lekka jazda chanatu.

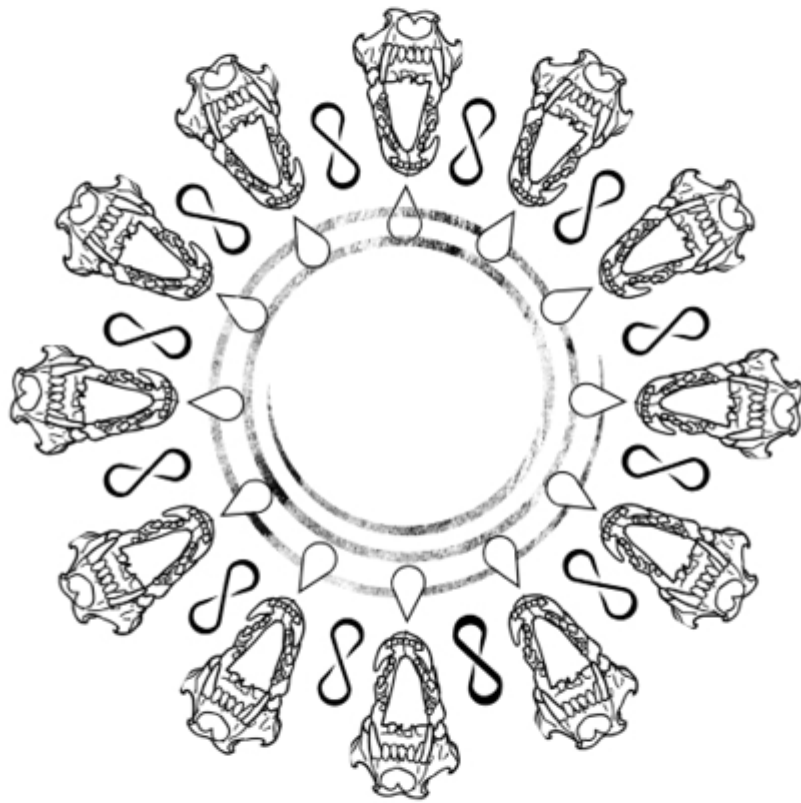
W ten sposób po zdobyciu prawej flanki oraz opanowaniu centrum coraz bardziej zaginamy pozycje wojsk nieprzyjaciela w kierunku północnego

wschodu. I wreszcie wspólnie zmuszamy go do odwrotu w tym właśnie kierunku. Jednak już zwietrzyliśmy krew i nie dajemy się najeźdźcom tak po prostu wycofać.

Nasze piesze jednostki pozostają na stanowiskach. Lecz jeźdźcy, w szczególności ci zaopatrzeni w łuki, ścigają zawracające pomioty Otchłani. Czynimy to przez kilka wzgórz i dolin, gdzie kładziemy trupem kolejne tysiące zdeorganizowanych wrogów w pełnym odwrocie. Tych jednak są nieprzeliczone szeregi i w ostatecznym dobieciu nieprzyjaciela i wyrznięciu go w pień przeszkadzają nam ślaniające się na nogach nasze własne rumaki oraz zapadająca już noc.

Jednakże wielkie zwycięstwo jest nasze i staje się ono niezaprzeczalnym faktem! Oto walcząc ramię w ramię po raz pierwszy ludzie z serca Pendorum dają prawdziwy, krwawy odpór gniewnemu Bogu.

I teraz marzę już tylko o jednym, mianowicie, aby to zwycięstwo było początkiem jednoczącego nasze siły sukcesu. Lecz czy tak będzie w rzeczywistości? O tym zapewne zdecyduje nocna narada w zdobyczym namiocie samego Gragezona, na którą właśnie przybywam.



VIII. SOJUSZ

Koło zielonego namiotu w kształcie kopuły zeskakuję z chudej szkapy, zdobycznego rumaka od jakiegoś barbarzyńcy, ponieważ trzy uprzednio dosiadane przeze mnie wierzchowce zasieczono pode mną. Następnie orientuję się, że w całkiem przestronnym wnętrzu pełnym rozesłanych na ziemi niedźwiedzich skór zasiadają w kręgu już wszyscy, którzy mają coś do powiedzenia w scalającym się, mam nadzieję, sojuszu. Mianowicie jest tu para konkwistadorów; panów La Furia oraz El Kapitano, także jarlowie Płaskonosy oraz Albina. Dumnie prezentuje się tu oczywiście i pryszczaty młodzian, nie inaczej, a nie braknie również Kalilli z Exonem, władcy chanatu i mistrza zakonnego imieniem Gorl.

Ja sam dołączam do tego zacnego towarzystwa, zasiadając doprawdy z wielką ulgą na czymś, co wreszcie nie jest końskim grzbietem. Z tą chwilą wielce odkrywczo przemawiam:

– Wygraliśmy! – Odpowiada mi przemożna cisza i raczej strapione miny zebranych, dlatego naiwnie zapytuję: – Czy w czymś jest problem? – Na co na wyścigi wypowiadają się na przemian kolejne osoby:

– Eldorado, estupido! Podział łupów, zapłata! – wypalają z pretensją konkwistadorzy.

– Władza nad konfederacją. Przewodnictwo Favera! – przekrzykują się pryszczaty młodzian z jarłem Płaskonosym.

– Bezpieczeństwo imperium Pendorum – chrypi Exon.

– Pozycja zakonu – oznajmia smętnie sędziwy, wielkim mistrz, Gorl.

– Ta... – mruczę w reakcji na te różnorodne postulaty, a mój wyśmienity humor nieco się tonuje. Lecz zaraz przedstawiam własną propozycję:

– Może być to dla was chwilowo dość trudne do zaakceptowania, ale proponuję, abyśmy wrócili do przedstawionych tematów już po

definitywnym zwycięstwie. Ponieważ tylko ono zapewni nam odpowiednie łupy i sowitą premię... – Spoglądam na konkwistadorów. – Ochroni władztwa Favere, Precis, czy imperium Pendorum. – Przenoszę wzrok na kolejnych władców, jak i uzurpatorkę, nie omieszkując obciąć wzrokiem przyszczatego młodziana. Na zakończenie zaś, ogniskując spojrzenie na wielkim mistrzu, mówię: – Całkowite zwycięstwo ze współudziałem zakonników zielonego niedźwiedzia powinno także przywrócić świetność zgromadzeniom zakonnym w podzięce za wsparcie i zasługi. – Po moim wywodzie miny zebranych przyjmują kwaśny wyraz, to wyrażają obojętność, a czasem tu i ówdzie widzę lekkie kiwanie głowami na zgodę. Zatem idę za ciosem, tłumacząc: – Całe Pendorum jest nieustannie w śmiertelnym niebezpieczeństwie, a razem z nim my wszyscy oraz wszystko, co posiadamy i o co zabiegamy, co jest nam drogie. Dlatego stoję na nieprzejednanym stanowisku, że powinniśmy przede wszystkim rozgromić do końca uciekające wojska Gragezona, Boga siły, w ten sposób okazując własną potęgę! – Uderzam się pięścią w tors, aż rozchodzi się głośne dudnienie. – A kiedy już to uczynimy, wygramy – ciągnę dalej: – Wtedy, jako prawdziwi zwycięscy spotkamy się ponownie w naszym gronie i wówczas naprawdę będzie odpowiedni ku temu moment, by rozstrzygać z możliwą korzyścią dla każdego z nas wszelkie przedstawione tu sprawy. Bo alternatywa, gdy wygrają w Pendorum gniewni Bogowie, jest taka, że nie będzie już żadnych spraw do roztrząsania, ponieważ nie będzie tu już nikogo, kto mógłby je roztrząsać, nie będzie już bowiem nas samych... – Po tych z kolei słowach wreszcie dostrzegam wokół przyjazną mimikę twarzy zgromadzonych, jak również słyszę stosowne potwierdzenia z ich ust, że przystają na mój plan odroczenia debaty, a skoncentrują się wspólnie na działaniach wojennych. Co więcej, uznany zostaję za najbardziej neutralną osobę w naszym szacownym gremium w związku z czym nieoczekiwanie to właśnie mi powierza się zaszczytną funkcję głównodowodzącego kontynuującego dotychczasowe natarcie.

Osobiście bynajmniej nie zamierzam się krygować i jeszcze tej nocy rozkładam pomiędzy nami mapę konfederacji Favere. Pokazuję na niej, czego oczekuję od poszczególnych dowódców i ich oddziałów. Na szczęście znajduję należny mi posłuch i skoro świt solidarnie ruszamy w pościg za wrogiem.

Tutaj prym wiodą moi Allearzy wespół z lekką konnicą chanatu, a ubezpiecza nas kawaleria konkwistadorów z jazdą z imperium Pendorum. Dalej za naszymi plecami, w równych odstępach, podąża piechota z Favere, zakonna, konkwistadorów oraz z imperialna. Ma ona za zadanie przeczesywać wszystkie lasy, wzgórza oraz doliny, gdzie mogli się skryć niedobitkowie ze wczorajszej bitwy. Ponadto dodatkowy mój rozkaz jest okrutny, ale nie mam wyboru – w tej bezwzględnej walce nie bierzemy jeńców.

W ten sposób, w postępujące po sobie krwawe dni, dożywanie watahy gniewnego Boga idzie nad wyraz sprawnie. Aż tuż przed granicą z królestwem Salador mój wysunięty do przodu oddział Allearów nadziewa się na przeciwnika, który nie ucieka.

Podjeżdżamy bliżej i okazuje się, że na jednym z okolicznych wzniesień stacjonuje gwardia samego Boga siły, blisko stu ludzi z głowami niedźwiedzi zwróconych w naszą stronę. Ale przede wszystkim w ich centrum dostrzegam skrzydlatą postać samego Gragezona.

Na ten zaskakujący widok rozkazuję wstrzymać rumaki moim ludziom i błyskawicznie szacuję szansę na zwycięstwo w potencjalnym starciu. Osobiście mam obecnie pod swoją bezpośrednią komendą podobną ilość wojowników co syn Anrei i Abezala, reszta Allearów pod przewodnictwem przywódców klanowych przemierza inne odcinki frontu. Patrę jeszcze z nadzieją za plecy, ale zgodnie z oczekiwaniem nie zauważam wsparcia, jest na nie zbyt wcześnie. Z kolei pomny starcia z moją siostrą Harremid mam świadomość, że samego Gragezona zapewne nie uda mi się pokonać. Poniósłbym więc niepotrzebne straty w ludziach i w tych okolicznościach wypadałoby poczekać przynajmniej na odsiecz.

Jednakże zaraz przechodzi mi przez myśl, że być może Harremid posiadała jakieś wyjątkowe cechy bądź ochronił ją specyficzny układ, doprawdy nie wiem czego, może sprzyjających jej planet? W związku z tym nie mam przecież pewności, że w przypadku Gragezona moje wysiłki zgładzenia go także będą daremne. A co, jeżeli ten gniewny Bóg zaraz zniknie mi z oczu i wkrótce powróci z Otchłani z kolejną hordą?

Wobec takich rozważań decyduję się jednak zagrać brawurowo, to jest wziąć byka za rogi i stanąć do trudnego boju z półludzkimi przeciwnikami.

Rozkazuję przyjąć mej konnicy szyk do ataku, rozstawiając ją szeroką ławą oraz na flankach. Sam rozcinam sobie krótkim ostrzem dłonie i odwiązuję od paska woreczek z zielonym proszkiem od czarownika Gabu. Zасыpuję drobnym pudrem świeże rany, z których płynie krew i powstałą czerwono-zieloną mazią smaruję klingi dwóch krótkich mieczy. Tak przygotowany zajmuję pozycję w centrum szyku naprzeciw Gragezona i wzniesionym ostrzem daję sygnał do błyskawicznego natarcia!

Rączy konie Allearów gnają co sił frontalnie oraz z flank na osłoniętych wysokimi tarczami przeciwników uzbrojonych w topory. I niemal w jednej chwili dwa wrogie oddziały w całości zderzają się ze sobą z niewypowiedzianym impetem. Daje się słyszeć przeraźliwe parskanie okaleczonych koni, a zaraz potem gardłowe, niedźwiedzie porykiwania piechoty gniewnego Boga i rozpoczyna się mordercze stracie w zwarciu.

Mnie samego znosi podczas szarży nieco na bok i wbijam się z rumakiem w formację piechoty tuż koło Gragezona. Następnie wskakuję na koński grzbiet i zeskakuję z niego już za plecy walczących. Tutaj z miejsca tnę po karkach i łopatkach zwróconych do mnie tyłem ciężko opancerzonych przeciwników. Niestety większość ciosów ześlizguje się po potężnych zbrojach w odcieniu ciemnej zieleni. Dlatego dalsze ataki wykonuję, celując w odsłonięte, niedźwiedzie głowy bądź zagłębiając czubek ostrzy w łączenia pomiędzy elementami zbroi.

Aż raptem nad walczących wlatuje na skrzydłach sam Gragazon i opadając wprost na mnie, zadaje w moim kierunku zamaszyste uderzenie toporem. Zasłaniam się dwoma ostrzami, lecz od siły ciosu padam na ziemię. Gniewny Bóg, jako jedyny walczący w swym oddziale zupełnie bez zbroi, stara się przygwoździć mnie do gruntu stopami. Ale turlam się błyskawicznie na bok, a jednocześnie tnę wroga mieczami po łydkach. Widzę, że rozcinam mu grubą skórę, więc zachęcony staję na nogi i rzucam się do piorunującego ataku. Gragezon zasłania się tarczą, na którą bierze cały impet mej furii. A zaraz z całych sił napiera na mnie swoją osłoną. Czyni to tak gwałtownie, że pchnięty do tyłu się cofam i równocześnie potykam.

W tym momencie gniewny Bóg zadaje mi niespodziewany cios toporem. W powietrze wzbija się struga mej krwi z głęboko rozciętego ramienia, a

przeciwnik od razu poprawia ostrzem topora w moją klatkę piersiową, którą znaczy teraz po skosie krwawa pręga pod rozdartą kolczugą.

Lecz zamiast dalej się cofać, czy szykować na unik przed spodziewanym, trzecim ciosem, zagryzam wściekle zęby i sam napieram na Gragezona. Siłujemy się moment, ale od razu czuję, że nie mogę się równać z fizyczną potęgą brata. A skoro tak, to jego własnej siły używam przeciw niemu samemu.

Gwałtownie luzuje napór i usuwam się umiejętnie w bok, a Gragezon leci do przodu, mijając mnie. Ja zaś tnę go zamasyście przez plecy pomiędzy skrzydłami, po czym ustawiam się w pozycji do kolejnego zejścia z ciosu i ponowienia ataku. Sytuacja się zaraz powtarza i gniewny Bóg tym razem mija mnie z rozciętym karkiem.

Niestety wraz z tym zdarzeniem boleśnie uświadamiam sobie, że cios, który każdemu innemu śmiertelnikowi przecięłby kręgosłup, Gragezona jedynie lekko rani. Dlatego obecnie czynię zachowawczy krok do tyłu i ze złością przyglądam się przeciwnikowi, analizując, czy w ogóle istnieje jakaś szansa, aby go pokonać i zgładzić.

I naraz, być może jak na życzenie, na tle głowy mego brata oraz zachodzącego słońca dostrzegam aureolę. To jakby zebrane w kręgu krople wody, a wokół nich rozdziawione, niedźwiedzie szczęki poprzedzielane pętlami.

Czy to właśnie jest ukazany mi znak, za pomocą którego w jakiś sposób mógłbym pokonać gniewnego Boga? Raptem dociera też do mnie, że w związku w moim rodzeństwem, na ziemiach Pendorum miałem już okazję widywać podobne, charakterystyczne niby glify.

Rozmyślam tak, gotując się do dalszej potyczki z Gragezonem. Ale obok zdobiącej go na ten czas aureoli za jego potężną skrzydlatą sylwetką dostrzegam coś jeszcze, coś doprawdy niepokojącego. Oto wyłania się tam jakaś armia, a ja mogę wręcz przysiąc, że są to znani mi już Jeźdźcy Majanu Avenedora. Zaś ze wzniesienia, gdzie się znajduję, podejrzewam, iż obserwuję tych wojowników w liczbie wielu tysięcy.

Lecz to bynajmniej nie koniec przykrych niespodzianek. Od południa zauważam inne, nieprzeliczone zastępy, gdzie powiewają złowrogo sztandary Arezara – malunki skrzydlatego człowieka z głową psa i z

uniesioną, otwartą dłońią. Natomiast od północy nadciągają chmary Isików Harremid.

W tym momencie jak grom z jasnego nieba dociera do mnie, że w obliczu klęski jednego z braci rodzeństwo Anrei oraz Abezzala zaczyna ze sobą współpracować. Są to doprawdy koszmarnie wnioski, których konsekwencje będą zaiste tragiczne. Sam daję wyraz mojemu nagłemu lękowi, krocząc odruchowo do tyłu.

Zaraz jestem już w przerzedzonych szeregach walczących gwardzistów Gragezona oraz moich Allearów, ale wstrząśnięty dotychczasowym widokiem bynajmniej nie podejmuję walki. Zamiast tego chowam miecze i dopadam najbliższego, zdrowego wierzchowca bez jeźdźca. Wskakuję na jego grzbiet i kierując się do ucieczki, załamującym się głosem, doniośle krzyczę:

– Odwrót... Odwrót...!

Dołącza do mnie zaledwie około trzydziestu allearskich wojowników, czyli tylu ile pozostało sprawnych do jazdy rumaków. Resztę moich ludzi zmuszony jestem pozostawić na pastwę losu, a więc na śmierć.

Przeklinam to i gnam nieprzerwanie, aż napotykam lekką konnicę chanatu. Tutaj naprędce łapię dowódców z Precis i przedstawiam im zaistniałą sytuację na froncie, a tym samym nakłaniam do zmiany kierunku jazdy. Osobiście zmieniam rumaka na bardziej wypoczętego i dalej porywam się jak szalony w poszukiwaniu innych naszych oddziałów, które ciągle ścigają wroga, pchając się teraz w paszczę lwa, a także psa, łani, oraz niedźwiedzia.

Niestety moje zadanie zostaje szybko utrudnione, ponieważ niebawem zapada już noc, a jej ciszę co raz przerywa piskliwe wycie tysięcy Isików. Podobnie niskie, złowrogie i zawodzące tony wydzierają ze swych kobiecych piersi amazonki Legionu Śmierci. I słyszeć, że są to wyraźnie wojenne odgłosy. Stąd wniosek, że na całym pograniczu z królestwem Saladior trwają w ciemnościach chaotyczne, mordercze walki. Jednakże z powodu atutu zaskoczenia i liczebnej przewagi bez wątpienia zdecydowany sukces w tym starciu odnoszą gniewni Bogowie.

I tak nastaje krwawy świt, do którego czasu nie zaznaję nawet odrobiny snu, cały czas starając się odnaleźć i ostrzec kolejne oddziały sojuszu. Lecz

obecnie, po koszmarnej nocy, wszyscy dowódcy i tak zdają już sobie zapewne sprawę z zaistniałego obrotu sprawy. Przeto począwszy od rana, oglądam nasze wojska przypominające raczej armię skazańców, którzy w pośpiechu powracają przebytą dotąd drogą usłaną trupami barbarzyńców.

Ja sam otrzymuję od gońca pilne wezwanie na popołudniową naradę, która ma się odbyć przy jednym z mostów, gdzie tłoczą się już nasze pierzchające przed wrogiem jednostki. Inne, świadome tego, że mogą nie zdążyć z przeprawą, porzucają zbrojny rynsztunek i ratują się, uciekając wplaw. Doprawdy w odniesieniu do ostatnich zwycięstw jest to ze wszech miar upokarzający widok.

Tymczasem już wkrótce zasiadam na gołej ziemi w kręgu naszych dowódców. A jest to ta sama grupa osób, którą pierwotnie nakłaniam do śmiałego manewru pościgu za Gragezonem. Teraz jednak nie czas na wbijanie wzroku w ziemię, kajanie się, czy zrzucanie brzemienia odpowiedzialności. Obecnie, jak nigdy, nadchodzi czas, aby zdecydowanie działać. Dlatego oświadczam do zebranych, co następuje:

– Stajemy przed faktem dokonanym. Gniewni Bogowie jednoczą przeciw nam siły. I się nie oszukujemy. W całym Pendorum nie ma takiej potęgi, która mogłaby się im przeciwstawić. – Czynię pauzę, rozglądając się po przygaszonych obliczach zgromadzonych. Przedłużam milczenie, aby ktoś mógł się wypowiedzieć. Lecz wobec trwającej nieprzerwanie ciszy, ciągnę dalej: – Tu i teraz nie wygramy, to aż nazbyt pewne. Zatem to, co proponuję, to na początek próba przetrwania. Aby to osiągnąć, moim zdaniem, musimy cały czas trzymać się razem i wyrwać solidarnie z matni. Następnie wspólnie uczynimy, co w naszej mocy, aby bronić Pednorum do ostatnich naszych sił, dając odpór nieprzyjacielowi tam, gdzie będzie to możliwe.

– Jak mamy się wyrwać z potrzasku i gdzie twoim zdaniem powinniśmy dawać ten odpór? – pyta grobowym tonem Exon. Inni, spoglądając na niego, kiwiają z lekka głowami, podpisując się pod tym pytaniem. Wobec tego wyciągam zza pasa mapę konfederacji Favera i rozpościeram ją pomiędzy zebranymi. Pokazuję naszą obecną pozycję palcem i wiodąc nim po mapie, przesuwam go w kierunku granicy z chanatem, objaśniając:

– Jedyne możliwy kierunek ucieczki to władztwo Precis. Tylko tam nie zaatakowali jeszcze gniewni Bogowie. Z kolei ci, którzy już to uczynili, niewątpliwie podążą za nami. Tam jednak, na granicy z chanatem, się zatrzymają.

– A to dlaczego?! – rzuca żywiołowo pryszczaty młodzieniec. Osobiście spokojnie zaspokajam jego ciekawość, skwapliwie tłumacząc:

– Począwszy od ziem chanatu, w ich głąb ciągną się rozległe pustynie z nielicznymi oazami. Wystarczy więc, że na drodze naszego przemarszu skazimy wody w życiodajnych sadzawkach, a dziesiątki tysięcy obcych wojowników nie będą mogły za nami od razu podążyć, ponieważ nie napoją ani swych rumaków, ani też samych siebie. Co za tym idzie, nie będą w stanie nas skutecznie gonić w znaczącej sile, a z mniejszą sobie poradzimy. Co więcej, z całego chanatu moglibyśmy w ten sposób uczynić niedostępną twierdzę, do której zapraszalibyśmy ocalałych rycerzy z całego Pendorum. A być może ściągnęlibyśmy do Precis jeszcze jakąś zamorską kompanię najemną. Tak, chanat Precis mógłby się stać prawdziwym zarzewiem oporu wobec gniewnych Bogów. Jedyne, co musimy, to...

– Jakimś cudem tam dotrzeć... – podchwytuje Kalilla.

– Tak – potwierdzam i rozkładając szeroko ramiona, z lekkim uśmiechem sam zapytuję: – Czemu miałyby się nam to nie udać?

– Dlatego... – odpowiada ponuro jarl Płaskonosy, wskazując na mapie potężną rzekę, będącą równocześnie granicą pomiędzy chanatem i konfederacją, po czym wyjaśnia: – Są tutaj zaznaczone trzy mosty w tym dwa drewniane. Jednak po ostatniej wiośnie nadeszła powódź i zerwała drewniane mosty. Ostał się tylko jeden, murowany, ale mocno przez powódź nadwyrężony.

Na te słowa spoglądam zafrasowany na władcę z Favera i przenoszę wzrok na jarl Albinę. Niestety surowe oblicze uzurpatorki wydaje się potwierdzać słowa ostatniego rozmówcy. Przez to wzdycham głęboko i przyglądając się w zamyśleniu mapie, wskazuję zaznaczony szeroki bród na rzece. Stukam w to miejsce wymownie palcem i ponownie wbijam spojrzenie w parę jarłów. Zaś tym razem odpowiedzi udziela pryszczaty młodzian:

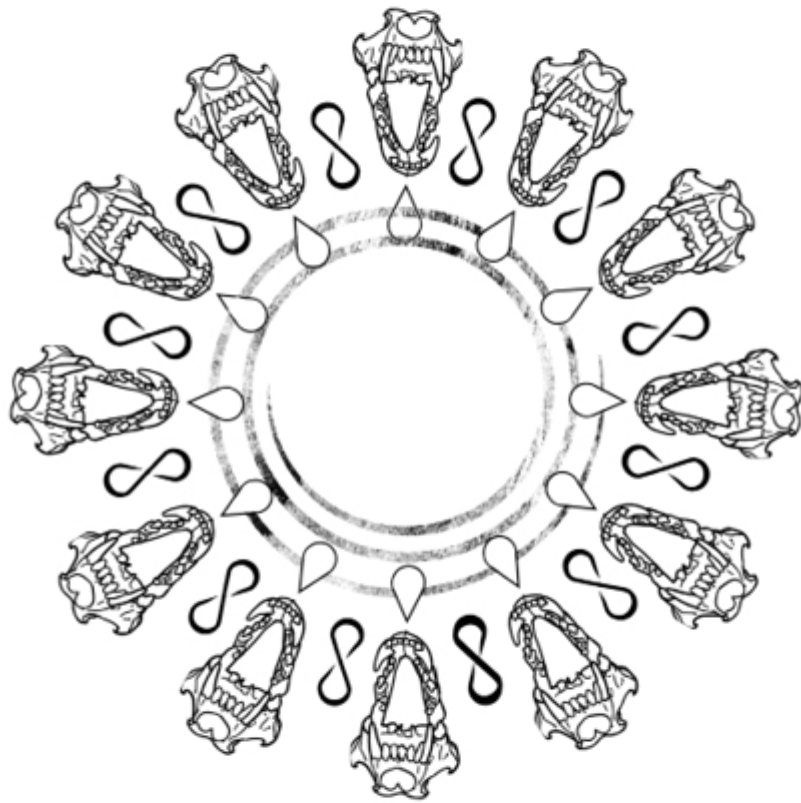
– Zaiste rzekę w tym miejscu pokonamy bez trudu. Jednakże do tego miejsca wiedzie długi jar. Słowem, jeżeli nie przekroczy my go dość szybko i w tym samym czasie zjawią się tam nasi wrogowie, wówczas wybiją nas w pień, wszystkich, co do jednego! – piszczy dramatycznie i zrezygnowany dodaje: – Ale nie ma innych dróg. Mamy tylko wspomniany murowany most, który pod wpływem napierających w nadmiarze wojsk może się rozsypać oraz długi jar, z którego brzegów mogą nas zasypać strzały i oszczepy wrogów...

– Zatem... – mówię w zamyśleniu i rozglądając się po obecnych, rzucam propozycję: – Niech ci, którzy decydują się poprowadzić swe wojska przez jar, podniosą ręce. Oni ruszą dalej przez bród. Reszta skieruje się drogą przez most.

– To będzie rozsądne, czasowo podzielić wojska. W ten sposób jest większa szansa, że ktoś przetrwa – oznajmia Exon i podnosi rękę. W sukurs idą mu jarl Albina i władca chanatu Precis. Pozostali, czyli panowie La Furia, El Kapitano, wielki mistrz Gorl oraz jarl Płaskonosy wybierają przeprawę mostem.

– Doskonale – stwierdzam, choć tak naprawdę daleki jestem od entuzjazmu. I na koniec jeszcze niepewnie zapytuję: – Ilu straciliśmy do tej pory ludzi...?

– Blisko jedną czwartą wyjściowego stanu osobowego. – Z ust Kalilli pada bolesna odpowiedź. Jednak nie załamuję rąk, aby podtrzymać nasze morale. Zamiast tego kiwam tylko ze zrozumieniem głową i podsumowuję: – Zgodnie z wyborem podzielcie się na dwie grupy i dalej kierujcie już w odpowiednią stronę. Osobiście z moimi Allearami postaram się ubezpieczyć wasze tyły. W każdym razie zrobię, co mogę. – Po tej deklaracji wstaję i idę do klanowych, allearskich przywódców, aby wydać im nowe rozkazy.



IX. JAR I MOST

W nadchodzące, mordercze dni w szeregach naszego sojuszu nie ma już piechurów. Wszyscy ocaleli żołnierze dosiadają rumaków, po części zarekwirowanych wieśniakom, i w ten sposób całkiem sprawnie poruszamy się w wyznaczonym, południowym kierunku.

Oczywiście nie sami. Na plecach nieustannie czujemy złowrogi oddech niczym spuszczonej ze smyczy wściekłych zwierząt, kłusujących nas, konnych oddziałów wroga. To przede wszystkim śmiertelnie zabójcze amazonki z Legionu Śmierci oraz Jeźdźcy Majanu wspierani skutecznie przez półludzkie lwy, niedźwiedzie, psy oraz łanie – potężnych gwardzistów gniewnych Bogów.

Z tego powodu z moimi Allearami co raz toczyśmy ciężkie potyczki, wykrwawiając się coraz bardziej wspólnie ze wspierającą nas lekką konnicą z chanatu, która ponosi jeszcze większe straty i niebawem jest już zdziesiątkowana. Jednak dzięki temu poświęceniu całkiem skutecznie osłaniamy pozostałe wojska sojuszu, które tego dnia mają wreszcie przekroczyć zarówno bród rzeki, jak i jedyny na niej most, aby wyjść z lasów i łąk na pustynne tereny.

Obecnie, po kolejnym, trudnym starciu, moi Allearzy w liczbie już tylko trzech setek dochodzą do siebie, by wkrótce znowu wyruszyć do boju. Ja z kolei przyjmuję akurat bardzo niepokojące meldunki od zwiadowców. I zaraz utwierdzam się w przekonaniu, że czeka mnie powzięcie niezwykle ważkiej decyzji.

Oto na kluczowy dla ewakuacji jar napiera wielotysięczna armia amazoнок z Legionu Śmierci i są już ponoć naprawdę blisko. Natomiast na kamienny most ciągną w podobnej liczbie i równie szybko Jeźdźcy Majanu. Dlatego nie pozostaje mi nic innego, jak zdecydować, z którym zetnę się wrogiem, aby ratować chociaż połowę naszych wojsk, drugą skazując na

zgubę. Niestety nie mam co liczyć na wspierającą mnie do tej pory konnicę z chanatu. Ta idzie już w całkowitą rozsypkę, nie posiadam więc żadnych odwodów. A zatem?

W myślach gorączkowo rachuję kogo i dlaczego powinienem wesprzeć. Jarl Albinę, czy może raczej bliżej jest mi na ten czas do jarla Płaskonosego? A może jednak liczyć przede wszystkim na ocalenie resztek wojsk imperium? Bo chyba nie ma co stawiać na konkwistadorów... Ponadto co z zakonnikami zielonego niedźwiedzia...?

Głowią się tak mozolnie, pragnąc ponad wszystko podjąć słuszną decyzję. Lecz moje myśli ciągle nie są klarowne. I wtedy wspominam słowa wielkiej mistrzyni Hamri. Prawdę o tym, że ona sama jest nieodgadniona i ostatecznie nie dościgniemy jej własnym, ograniczonym umysłem.

W związku z tym wypuszczam z napiętych płuc resztki zatęchłego powietrza i postanawiam się zdać na werdykt losu. Niech on pokieruje moją armią ku wybawieniu danej części sojuszu. Przeto wyciągam z kieszeni monetę i podrzucam ją wysoko. Zaś którą stroną spadnie ona na moją dłoń, to ostatecznie zdecyduje, gdzie skieruję swój oręż.

*

Pędzę na czele allearskiej konnicy prosto naprzeciw wejścia wiodącego do długiego jaru. Dla zagłębiających się tam właśnie sojusznicznych jednostek może się on stać zarówno wybawieniem, jak i drogą do grobu. Albowiem na horyzoncie już dostrzegam galopujące tu wypuszczone przodem konne jednostki wroga.

Wkrótce zauważam, że to elita wojsk Arezara oraz Harremid, półludscy jeźdźcy w sile przeszło czterech setek. Zatem siły wydają się dość wyrównane. Choć wszystko podpowiada mi, że to ja zwyciężę, bo muszę.

Tuż u wejścia do jaru ustawiam moich Allearów w trzy szeregi, każdy po stu wojowników. Następnie daję sygnał do zakładania strzał na cięciwy łuków i unoszę wysoko rękę. Kiedy zaś nadciągająca nawałnica jeźdźców jest już w odpowiednim zasięgu, daję sygnał do strzału. Niebo zasnuwa chmura drzewców, a zaraz potem druga, trzecia i wreszcie dziesiąta salwa strzał, które są niczym przemykające po niebie ciemne obłoki.

W wyniku ostrzału opancerzone rumaki i jeźdźcy naprzeciw zostają po części zastopowani. Jednak reszta nieustannie gna na nas, gdzie do przodu wysuwają się zaopatrzeni w lance jeźdźcy Arezara, a na bokach osłaniają ich wojowniczkami Harremid także celnie posyłające w nas strzały z łuków. Tak więc dochodzę do wniosku, że nie ma co dłużej zwlekać i czas na allearską szarżę.

– Naprzód! – wydaję jednoznaczny komendę bez zbędnych ozdobników, wykrzykując słowo, które z moich ust w ostatnich dniach pada już sam nie wiem ile razy.

Następnie dwa tabuny jeźdźców zmierzają wprost ku sobie i z destrukcyjną siłą zderzają się przed długim jarem. I znowu słyszę tak dobrze znaną mi już wojenną pieśń. Zwierzęce ryki mieszają się z ludzki krzykami, a te z kolei z bogactwem brzmienia krzyżującego się ze sobą oręża oraz broni w konfrontacji z metalowymi pancerzami.

Walcząc zjadle samemu, zauważam w tle, jak pojedynkują się i wygrywają bądź giną moi ludzie. Jeden z allearskich wodzów z bogatą kolekcją blizn na twarzy przyjmuje cios lancą na tarczę. Dzięki skutecznej osłonie uchodzi cało przed atakiem i zbliża się konno do jeźdźcy Arezara, po czym wręcz z gracją umieszcza mu czubek ostrza w psim gardle. Ponownie zasłania się trzymaną w drugiej ręce tarczą, na którą tym razem spada włócznia rzucona przez półludzką łanię. A zaraz allearski wódz szatkuje błyskawicznie opancerzone piersi półkobiety i dalej zagłębia się w szeregi wroga, znikając mi z oczu. Podobnie skutecznie walczą inni allearscy weterani, szczególnie wodzowie, a padają w boju głównie młodszy doświadczeniem i rangą wojownicy.

Sam doprawdy nie wiem, do których powinienem się zaliczyć. Choć faktem jest, że w postępujących po sobie starciach nie dość, że udaje mi się zachować życie, to nawet unikam poważniejszych ran. Ale prawdą jest także to, że o ile niestrudzenie prowadzę co raz moich ludzi do szarży, to potem zwykle świadomie cofam się na tyły. Zaś czynię to, aby szacować kształtującą się sytuację i wydać dodatkowe rozkazy bądź samodzielnie interweniować na danym odcinku bitwy.

Podobnie sytuacja ma się i teraz. Po pokonaniu dwóch jeźdźców Arezara oraz jednej pół-łani, cofam rumaka i staram się dostrzec, czy przypadkiem

nie nadciąga już kolejny spodziewany wróg w postaci amazonek Legionu Śmierci.

A i owszem, daleko na horyzoncie widać już wzbijane tumany kurzu. Zatem biorę kilka głębokich oddechów, aby nasycić się nową energią i porywam w wir dalszej walki. Musimy bowiem jak najszybciej pokonać obecnego wroga, aby resztkami sił postawić się nadciągającemu i jeszcze silniejszemu przeciwnikowi.

Wpadam w wir walczących i od razu udaje mi się niemal przepołowić psi pysk mieczem, po czym rozcinam smukłe gardło pół-lani, z którego ochlapuje mnie ciepła krew. Lecz zaraz sam jestem zepchnięty do defensywy przez pomioty Otchłani. Zaś co gorsze już wkrótce uświadamiam sobie, że tej bitwy wcale nie wygrywamy. Jest ona nad wyraz wyrównana i niemal za każdego pokonanego wojownika gniewnych Bogów przychodzi zapłacić życiem Allearowi.

Zajadłe starcie się przedłuża, obie strony tracą siły i przeredzają się szeregi walczących. Aż nagle z tyłu na wojska Harremid oraz Arezara spada prawdziwa nawałnica jeźdźców i wszędzie wręcz roi się od nowych wojowników. Jednak o dziwo nie są to spodziewane przeze mnie amazonki. Są to Allearzy, których ze znacznej odległości uprzednio myłę najwyraźniej z zastępami gniewnych Bogów.

Z powodu tego kompletnie niespodziewanego wsparcia sam przestaję walczyć i bynajmniej już wcale nie muszę. Przybysze bowiem roznoszą naszego wspólnego, zmęczonego wroga w pył i to niemal w przeciągu chwili.

Osobiście z wielkim zaciekawieniem przyglądam się naszym wybawcom, których biało-zielone zbroje są niemal jak nowe, bez wgnieceń i niepokryte gęsto zaschniętą krwią. Natomiast sami jeźdźcy wydają się całkiem wypoczęci oraz bez widocznych ran. I zaraz objawia się przede mną w całej krasie powód takiego właśnie obrazu.

– Nail... – szepczę na jej widok niemal wzruszony. Ponieważ o ile rozstaliśmy się w nie najlepszej atmosferze, to teraz witam ją zarówno wzrokiem, jak i sercem niczym najbliższą mi osobę. Ona podjeżdża do mnie z mieczem w dłoni w wykwintnej, allearskiej zbroi godnej

najwspanialszych wodzów. Chowa swoją broń i szybko do mnie gestykuje:

– „Allearska puszcza na wschodzie spłonęła w całości za sprawą szamanów z Otchłani. Zatem Allearzy nie mają już domu, nie mają gdzie się skryć i pozostaje im już tylko walka”. – Robi pauzę i zaraz dodaje: – „Po drodze do tego miejsca spotkałam twojego zwiadowcę. Wyjawił mi, co się wydarzyło do tej pory oraz, co obecnie zamierzacie. Jestem z wami i zamierzam pomóc”.

– Nail... – Uśmiecham się dosłownie zauroczony, a kobieta kontynuuje:

– „Twoi Allearzy są zdziesiątkowani, zmęczeni i poranieni, ale moi ciągle gotowi do walki. Dlatego to ja ruszam na odsiecz grupie, która przeprawia się przez most. Ochronię ją”.

– A co z grupą, która podąża jarem...? – zapytuję z pewnym bólem i wskazuję odległy horyzont z kolejną falą wrogich jeźdźców. Tym razem nie mam już złudzeń, że może być to ktoś inny niż amazonki z Legionu Śmierci. Lecz dla odmiany Nail nie traci zimnej krwi ani hardego ducha i zdecydowanie gestykuje:

– „Oni się tym zajmą”. – Pokazuje ręką na grupę około stu jeźdźców. W tej chwili schodzą oni z rumaków u wejścia do jaru, uzbrajają się w tarcze i buławy, po czym tworzą sobą prawdziwy opancerzony mur strzegący przejścia dalej.

– Przywiodłaś tu Zakon Buławy Czerwonego Lwa, zakon honoru... – oznajmiam z podziwem na jego widok i tym razem wspominam słowa Lisoti, że ci ludzie szukają honorowej śmierci. Zatem znajdują ją tutaj, ratując kogo innego. Myślę tak i zwracam się do Nail:

– Będę ci towarzyszył.

Na co kobieta już nawraca swego rumaka, a do mnie czyni swój ostatni przekaz:

– „Jesteś teraz nie tylko wybrańcem Allearów, ale i wybrańcem całego Pendorum, synu boskiej Anrei. Twoja matka przepowiedziała ci zwycięstwo i zjednoczenie krainy. Nie możesz więc zawieść rodzicielki, nas samych, ani całego Pendorum. Musisz żyć i nie możesz teraz ryzykować”.

– Ale...

– „Jeżeli los da, spotkamy się na pustyni chanatu, bywaj”.

Dochodząc do siebie po walce, stoję jeszcze jakiś czas konno w miejscu i obserwuję oddalającą się Nail z blisko czterema setkami allearskich wojowników na rączych rumakach. Aż sam daję znak, aby zebrać naszych rannych i wraz z nimi udać się do jaru, by za plecami bohaterskich zakonników czerwonego lwa bezpiecznie przekroczyć bród rzeki.

*

Bezkresny pustynny krajobraz. To teraz nasza powszedniość i to zapewne na wiele postępujących po sobie w nieznośnym upale dni. Jednakże docieramy tu niemal w komplecie. Ci zaś, których nie ma już z nami, na zawsze pozostaną w naszej pamięci, jako ci, którzy przyczynili się do naszego ocalenia.

Wśród nich są przede wszystkim zakonnicy czerwonego lwa, którzy giną, broniąc wystarczająco długo i mężnie dostępu do brodu na rzece. Z kolei ich los na moście dzielą bracia zakonni zielonego niedźwiedzia. Na tamtym odcinku Allearzy Nail pokonują elitę wojsk Gragezona oraz Avendeora, pół-ludzi z głowami niedźwiedzi oraz lwów. Następnie odwrót oddziału Nail przed nadciągającymi Jeźdźcami Majanu osłania właśnie wspomniany zakon topora.

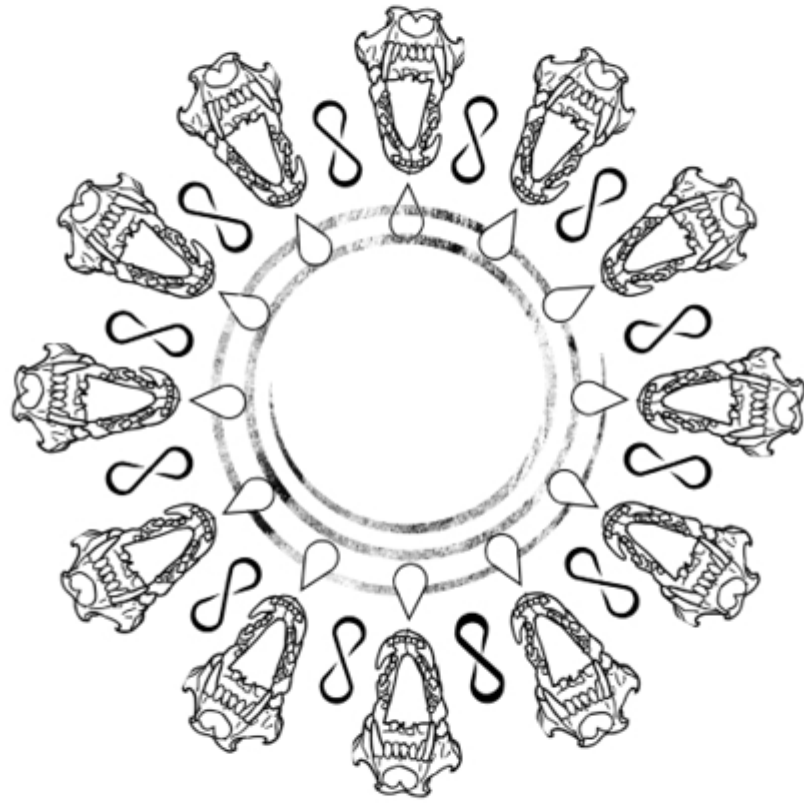
Zatem wspomnianych zakonników już z nami nie ma. A my? To blisko sześć tysięcy żołnierzy przemierzających w trudzie od oazy do oazy jałową pustynię. W każdej napotkanej przystani poimy rumaki oraz gromadzimy zapasy, a pozostawiamy zatrute zbiorniki. Natomiast kiedy skończymy naszą misję, mamy zamiar udać się w głąb chanatu Precis, by odbudować tam morale żołnierzy, a także stan osobowy oddziałów i wówczas ponownie staniemy do walki. Taki właśnie realizujemy plan.

Niestety nie ma w nim miejsca na podcinające nam jeszcze skrzydła niespodziewane wydarzenia, a te widocznie lubią na nas spadać całymi chmarami niczym plaga szarańczy. Oto pewnego razu powraca do naszej armii goniec wysłany do najbliższego miasta Precis i przynosi wyłącznie druzgocące wieści.

Mianowicie dowiadujemy się, że od wielu tygodni w chanacie przebywa gniewny Bóg Biramond, który dociera tu drogą morską z samej Otchłani. Nie sam oczywiście, a wraz ze swymi półludzkimi pomiotami z głowami

ptaków oraz budzącymi powszechny lęk Demonami Mroku. I wcześniej odcięci od wieści ze świata, w tej chwili słyszymy, że stolica chanatu, Tamroszach, kapituluje już wiele dni temu. Obecnie zaś składają broń obrońcy ostatnich warownych miast i twierdz pustynnego władztwa, czyniąc to przed swym nowym panem w osobie gniewnego Boga świętości i walki.

Tak więc zostajemy okrążeni przez wrogów i uwięzieni na pustyni, a bez sojuszników oraz zaopatrzenia skazani na rychłą śmierć. I ta rzeczywiście weźmie nas niebawem w swoje mroczne objęcia, o ile nie wydarzy się najprawdziwszy cud.



Spis treści

I. RAZEM CZY OSOBNO

II. PRZEZ SALADIOR

III. JARL ALBINA

IV. ŚWIĘTO SIŁY GRAGEZONA

V. POWIĄZANIA

VI. NEGOCJACJE

VII. POKAZ SIŁY

VIII. SOJUSZ

IX. JAR I MOST